



LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 12—586.

Redakcyja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 25 marca 1887 r.

13 marca 1887 r.

Tom XXIII.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

urodzony w Warszawie, d. 28 lipca 1812 r.;
zmarł w Genewie, d. 19 marca 1887 r., o godzinie 3 minut 38 popołudniu.

Dwaj pierwsi pracują w Warszawie, ostatni we Lwowie, ale za-
sługa ich wszystkich należy do całego społeczeństwa. Prof. Bro-
dowski zasłynął głównie na katedrze uniwersyteckiej; prof. Pł-
skowski pamiętnym będzie w dziejach szpitala obłąkanych;
prof. Biesiadecki, zajmujący dziś naczelne stanowisko protome-
dyka w Galicyi, odznaczył się jako dzielny organizator służby
lekarskiej i odważny badacz, nie cofający się przed groźnym,
niebezpieczeństwem, kiedy szło o odwrócenie zarazy od granic
kraju. Warszawskie Towarzystwo lekarskie zaprosi d-rów
Brodowskiego i Płaskowskiego na ucztę jubileuszową, która
zgrupuje kolegów przy ogólnym stole dla wymiany myśli i za-
chęcenia się do wytrwałej pracy.

Z Połtawy. Od p. Narcyza Potockiego, gorliwego kwesta-
starza dla kościoła w Poławie, otrzymaliśmy replikę przeciw
wystąpieniu p. A. Turzańskiego, który broni w n-rze 7 B. L.
parafian połtawskich od zarzutu obojętności na potrzeby i dostoj-
ność miejscowej świątyni. Repliki całej, z powodu jej rozciągło-
ści, nie możemy umieścić, ograniczamy się tylko na wyjątkach.
Rządząc się bezstronnością, dajemy głos obu stronom; zapewne
ktoś trzeci, znający dokładnie stosunki miejscowe, jeszcze się
w tej sprawie odezwie.

„Czemuż sz. korespondent nie zwrócił swojej uwagi na to, że przez 32 lata
nie było ambony a jedna tylko ampulka; nie było nawet paska do przepasania
alby, mszał był zupełnie zużyty, a woda święcona rozlewała się po kątach z po-
wodu braku chrzcielnicy. Ornaty były liche, podarte, monstrancja miedziana
i połamana, kielich jeden ledwo i to do użytku niezdatny, ściany kościoła nie
zewnątrz czarne i popękane, a miejscami i cegły wypadały; dach kościelny przez
burzę zerwany, parkan pogniły a w części i powalony, ganki zrujnowane. Może
sz. korespondent i w tym opisie owoczesnego stanu kościoła zarzucił mi przesadę?
Powiada sz. korespondent, że „zbudowaliśmy kościół przed 20 laty”, t. j. w 1867 r.;
prawda, że zbudowaliśmy ale przed 32 laty, bowiem kamień węgielny założony
został 19 maja 1855 r. Czemuż sz. korespondent nie zwrócił uwagi na ilość pa-
rafian rozrzuconych w 15 powiatach; wszystkich ich jest 1,218 obojów plei,
a w samą Poławie zaledwie kilka zamożniejszych rodzin katolickich a reszta,
do stu osób, są to niezamożni lub zupełnie biedni ludzie. Za cóż było budować
wielki parkan i pomalować go; za co ściany kościoła naprawić i pobielić, ganki
pobudować, dach załatać, rynny dać nowe? Nareszcie, zamiast zużytych apar-
atów kościelnych, podartych szat mszalnych i bielizny, kościół dziś posiada bardzo
piękną monstrancję, dwa kielichy ze wszelkimi przyborami, kilka kap, ornatów
ozdobnych i dostateczną ilość bielizny kościelnej; zkadże to się wszystko wzięło?
Zapewne nie z ofiar biednych miejscowych katolików, których nie stać na tak
znaczne dary.

„Ja nie będąc w stanie przyjąć z pomocą kościołowi materyalnie, chciałem
mu chociaż pracę swoją poświęcić, bez najmniejszej własnej korzyści, lecz sz. ko-
respondent usiłuje i moralnej zasługi mię pozbawić.

Nie wzywam na swoje usprawiedliwienie świadków, sam fakt dokonany
dla mnie wystarczy. Za wszystko, com dla połtawskiego kościoła uczynił, za-
szczycony zostałem najgorętszą podzięką miejscowego proboszcza ks. Maczyń-
skiego, syndyka tegoż kościoła generała Szymańskiego i wielu innych dostojnych
osób; oni to przyznali, że odnowienie kościoła w Poławie jest dziełem mojej
staranności.”

2,000 sarn znajduje się w lasach dóbr Staszowskich, nale-
żących do hr. Ar. Potockiego. „Gazeta Kielecka” opisuje
szczegółowo piękny zwierzostan w kluczach Staszowskim i Pa-
canowskim, oraz polowanie, na którym padło 41 dzików i kil-
kanaście rogaczy. Dzikie są plagą okolicznych pól włościańskich,
za szkody w r. z. hr. Potocki zapłacił przeszło 2,000 rs. Sarny
w ciągu zimy żywione są paszą dostawaną im z folwarków;
trzeba magnata aby utrzymać na swoim stole tyle pięknych,
ale łakomych stworzeń.

Wydajność złota w kopalniach syberyjskich ciągle się zmniej-
sza, chociaż pokłady nie są wyczerpane; obecna produkcja złota
wynosi rocznie tylko pudów 2,500. Dzienniki rosyjskie zły
rezultat przypisują nieznajomości i nieuczciwości tak zwanych
inżynierów i administratorów, wybieranych nie z pośród spe-
cjalistów i ludzi sumiennych, lecz z pośród zrezygnowanych na
pędzenie życia w towarzystwie wyrzutków społeczeństwa. Na
tysiąc robotników w kopalniach znajduje się zwykle połowa
byłych złoczyńców, połowa drugiej połowy ludzi nałogowych
a zaledwie reszta jakotako znośna. Taką zbieraninę trudno
rządzić człowiekowi ukształconemu i moralnych obyczajów.

Z Krakowa. Młodzież akademicka obchodziła uroczystość
20-stą rocznicę Czytelni akademickiej, która po ostatniem
zorganizowaniu swoim jest węzłem między kolegami uniwersy-
teckimi a ich profesorami, oraz nauką i literaturą. Przeszło sto
osób przyjęło udział w tej uroczystości ze wszech miar sympa-
tycznej; o szczerem zadowoleniu z pracy bieżącej akademików
i ufności w coraz pomyślniejszą przyszłość, świadczyły liczne
toasty wznoszone przez akademików i profesorów. Uczczono
toastami profesorów uniwersytetu, młodzież i jej instytucję,
ideale młodzieńcze, zdrowy i trzeźwy postęp, zgodę i łącz-

ność towarzystwa Filaretów, poprzednich prezesów czytelni,
którzy podnieśli myśl postawienia pomnika Mickiewiczowi.
Szereg toastów zamknął prof. Zoll staropolskim „Kochajmy
się.” W końcu odczytał prezes czytelni nadeszłe telegramy
i pisma, między temi list rektora uniw. jag., hr. St. Tarnow-
skiego: „Z żalem, że nie mogę uczestniczyć w dzisiejszym
obchodzie, przesyłam czytelni życzenia, żeby długo i szczęśliwie
żyła, na pożytek i dobre wspomnienie swoim członkom, na
ozdobę uniwersytetowi, a naukom na pomoc. Wszystkim zaś
zgromadzonemu, każdemu z osobna przesyłam życzenia wszel-
kiego powodzenia, swobodnej młodości, zasłużonej starości,
wszystkiego dobrego we własnym i zbiorowym życiu, i łączę się
najszczerzej z toastem dziękana Zolla.” Na tém zakończyła
się około godziny 10 wieczór uczta.

Armia belgijska liczy 138,000 ludzi; za dużo to na tak mały
kraik w czasie pokojowym, zamało dla obrony od potężnych są-
siadów granic otwartych.

MIECZ i DYPLMACYA. W szczerze zbliżenie się Francji do
Niemiec dzienniki rosyjskie nie wierzą; nie wierzą także, aby
Francja mogła potargać węzły sympatyczne jakie zadzierzgnęła
z Rosyją. „Byłaby to lekkomyślność, prowadząca Francję do
samobójstwa.”

Nowy regulamin dla szkół francuzkich uchwaliła izba depu-
towanych; zmieni on cały program obowiązujący dotychczas.
Pierwsze miejsce zajmie wojskowość; stopień z mustry i w ogóle
z żołnierki będzie miarą zdolności, pilności i patriotyzmu ucznia,
da mu on prawa obywatelskie, przedtem zaś promocyą do kla-
sy wyższej. Uczeń od wstępnej klasy czuć się będzie żołnierzem,
przeznaczonym do bronięcia ojczyzny, a skończywszy szkoły
będzie mógł od razu wstąpić w szeregi i celnie zmiatać nieprzy-
jaciela lub prowadzić jako dowódca do boju. Łacina i greka
zeszły na plan drugi, uczeń-żołnierz w klasykach już się nie
rozkocha, dla niego chwila bieżąca i obrona kraju będzie więcej
znaczyć niż losy starożytności Grecji i Rzymu. Studenci ćwiczyć
się będą w robieniu broni i mustrze na dziedzińcach szkolnych,
a młodzież ucząca się prywatnie musi odbywać mustwę na
placach publicznych lub w koszarach.

Nie tyle magazynierki niemieckich obawiają się francuzi ile
szpiegów pruskich, którzy pod różnemi postaciami uwijają się
po salonach, kawiarniach, redakcyach dzienników, po balach,
teatrach, w koszarach nawet i portach. W Paryżu wykryto
dzienniczek niemiecki litografowany, rozsyłany dziennikom
pruskim a mieszczący wszelkie szczegóły o działalności fran-
cuzkiej. Szpiegom pruskim pomaga bardzo piwo, do którego
francuzi już się znałowili; przy kuflu bawara łatwiej zabiera
się znajomość niż przy kieliszku wina, bawar prędkiej odurza
i język rozwiązuje.

Wiele guwernantek niemek zapisało się do kadrów tajnej
armii pruskiej, dlatego też rozkaz jen. Boulanger'a zabrania-
jąc rodzinom wojskowych trzymania służby cudzoziemskiej jest
usprawiedliwionym. Guwernantka niemiecka przyjęta do dzieci ofi-
cera francuzkiego staje się szpiegiem domowym; każdą rozmowę,
każde słowo znaczenia politycznego przesyła zaufanej osobie
w Niemczech, która następnie komunikuje wszystko agencji
lub dziennikom. W ten sposób niejedna tajemnica wojskowości
francuzkiej stała się własnością prusaków, a zdarzały się także
wykradzenia planów budowli fortów, rozmieszczenia pułków,
lub spisu zapasów amunicji i intendentury. Prusacy z dumą
mówią o patriotyzmie takiej guwernantki, nazywając ją... pruską
Dziewicą orleańską. Winszujemy pięknego panteonu!

Dwa ostatnie mandaty z Poznańskiego dostały się dzielnym
rzecznikom: Kazimierzowi Jarochoowskiemu, znanemu history-
kowi i publicyście, i dr. Romanowi Komierowskiemu, kandydatom
zaleconym przez komitet centralny w Poznaniu. Zwycięstwo to
jest nadzwyczaj ważne ze względu na koło polskie, bardzo osła-
bione przez usunięcie się takich szermierzy jak ksiądz Jażdżew-
ski, któremu ks. arcybiskup Dinder zabronił, niestety, przyjęcia
mandatu. Nie pomogła deputacja włościan polskich wstawia-
jąca się za ks. Jażdżewskim; arcybiskup nie przyjął jej wcale,
a nadto wydał okólnik do wszystkich duchownych swą diecezji,
aby do spraw politycznych wcale się nie mieszała. Surowy ten

zakaz, brzmiący jak echo rozkazu rządowego, zranił serca kapłanów i wiernych, ale jedni i drudzy rozkazu usłuchali.

Hipnotyzm albo licha dyplomacya. Oczarowany w Berlinie inżynier Lesseps, został albo zahipnotyzowanym przez Bismarka albo jest lichym dyplomata. Komplementa, jakimi inżyniera obсыpywali cesarz, cesarzowa, kanclerz, książęta — wszyscy jednym słowem, którzy prawie komplementa umieją, potrafiłyby zawrócić głowę jakiemu technikowi powiatowemu, ale Lesseps pomimo ośmdziesiątego roku życia nie jest jeszcze dzieciinnym starcem — więc w szczerść jedwabnych słówek wierzyć nie może. A w takim razie zanadto wysilał się na kłamstwa „po drodze”; zanadto wysoko nastroił hymn na cześć pokoju i dobrej wiary w życzliwość Bismarka dla Francji, zanadto udawał wiary w duser cesarzowej, która „z przyjemnością widzi zawsze francuza i kocha piękną Francją”, zanadto w serdeczny uścisk dłoni cesarskiej... Lesseps ubliżył sobie zbytkiem komedyi albo też skompromitował swą przenikliwość; obłudę lub naiwność ma do wyboru, jedno i drugie nie przystoi genialnemu specjaliście. Thiers apostołował inaczej.

Król serbski Milan arsenał swęj dyplomacyi pomnożył dramatem oryginalnie przez siebie napisanym p. t. „Stefan Batory”. Dostojny autor w akcji wykazał dobre skutki władzy energicznej, skoncentrowanej w rękach królewskich, niezależnej od niechęci różnych stronnictw, którym idzie o osobiste korzyści a nie o potęgę tronu. Czy to nowego rodzaju działo zwycięży opozycją — wątpić można; minęły czasy kiedy dyalektyka tyle znaczyła co miecz obosieczny. Dyplomacya gadająca od rana do nocy, przez swoje dzienniki, tak oswoiła publiczność ze słowem, że tylko bardzo naiwni gadaniu wierzą.

Kościół katolicki w Rumunii otrzymał szerokie podstawy dla swęj działalności religijnej: biskup Palma ma prawo zakładać misye i konwikty misyonarskie, bez względu na ich ilość i miejscowość; a dla nawiązania stosunków dyplomatycznych, Rumunia zamianuje stałego posła przy Stolicy Apostolskiej.

Książę Czarnogórski nadzwyczajną ochotę okazuje do głębokiej przyjaźni z Watykanem. Nie tylko nie tamuje, w głośnych obietnicach, propagandy katolickiej w malutkim swym kraiku ale nawet podsuwa środek, który katolicyzmowi utoruje szeroki trakt, wzdłuż i wszerz półwyspu bałkańskiego; środkiem tym ma być, podług księcia, liturgia w miejscowym języku. Wówczas to książę Czarnogórski zostałby rycerzem katolicyzmu. Przrzeczenia podobne dziwnie wyglądają obok gorliwości, z jakiej książę jest znany, dla sprawy kościoła wschodniego i obok roli politycznej, jaką pragnie odegrać w przyszłości dziejowej półwyspu. Takie malowanki zwykle się zapisują na kredyt nie obowiązujący do uiszczenia długu; faktem jednak jest, że książę Mikołaj przyjął z nadzwyczajnymi honorami arcybiskupa Antivari, Milinowicza; oddał na jego rozkazy swój powóz i yacht, a na uroczystém przyjęciu powiedział: „Uważam Waszę Eminencją za mego ojca, zechciej tedy uważać mnie za swęj syna.” W ciągu rozmowy wyjawiał gorące życzenie odwiedzić go wraz z synem Rzymu i audyencyi u Ojca Ś-go, dla którego sercu przechowuje uczucie czci najgłębszej.

Rozbicie organizmu, spojęnego tradycją, polityka pruska wzięła za jeden z taranów zniszczenia. Przez pomnożenie powiatów, pokrajanie terytoriów na nowe działki, rozbiła już organizm poznański, teraz ten sam system zastosować myśli do krajów zabranych Francji, a mianowicie Alzacyą chce przyłączyć do wielkiego księstwa Badeńskiego a Lotaryngią do Prus. Rozbicie takie kanclerz uważa za radykalny sposób zgębnienia ducha oporu; musi on zgasnąć, podług dyplomaty, w rodzinie rozproszonęj, której członkowie z czasem nienawidzić się nawet będą. Metoda pruska byłaby nieomylną, gdyby ów duch oporny był drewnem, z którego da się zrobić krzyż i łopata.

Polityka kanclerska, gotowa całować się dziś z tém od czego się wczoraj odwracała, kazała zatrzeć na powodzenie wystawy paryzkiej w r. 1889, której Niemcy już przrzekły swój udział. Wystawa, jak wiadomo, ma być zarazem wspomnieniem wielkiej rewolucyi francuskiej — ks. Bismarka takie hasło nie zraża; salutowanie rewolucyi we Francji nie przeszkadza mu igrać z konstytucją w Prusach.

Są rodziny pruskie przeznaczone na uszczęśliwianie swego narodu, do nich należy rodzina Puttkamera, ministra a wroga

polaków; godnym synowcem swoim minister uszczęśliwił Alzacyą, powierzając mu urząd sekretarza stanu przy księciu Hohlenlohe. Kuzynek gorliwie się zajął rozwiązywaniem towarzystw sympatyzujących z Francją, rozwiązał już ich dwieście, a nie poprzestając na wydalaniu francuzów i prześladowaniu każdego kto się w miejscu publiczném odezwie nie po niemiecku, polecił zwrócić szczególną uwagę na kobiety i obchodzić się z niemi jak z mężczyznami t. j. aresztować, popychać kolbami i zamykać w więzieniu. Patryotyzmowi kobiet prusacy przypisują niepomysłny dla rządu wynik wyborów w Alzacyi i Lotaryngii; podług nich zagroziły żony mężom swoim rozwodem i opuszczeniem domu, jeśliby dali głos za kandydatem rządowym. Dla dramatu, w którym kobieta odgrywa rolę wroga Prus, poznańska scena była zamala, więc rozszerzono ją aż po granicę Francji.

Magnetyzer Torcy.

Jesteśmy świadkami sceny w cyrku p. Savy, którego bohaterem jest d-r Torcy, magnetyzer, i jego medium panna Łucya. Torcy zyskał we Francji sławę magnetyzera, któremu nikt oprzeć się nie zdoła; nie spotkał on dotychczas człowieka, któryby mógł zwyciężyć jego spojrzenie, wywołujące sen i zupełną bezwładność. Torcy wzrokiem swoim obezsilnia także zwierzęta — lew, tygrys... po kilku chwilach wpatrywania się w niego mruży oczy, wyciąga się u nóg magnetyzera i pozwala z sobą robić wszystko.

Doktor ten stosując hipnotyzm w różnych chorobach, a szczególnie przy operacjach chirurgicznych, przekonał się, że chory traci przytomność lecz nie traci słuchu ani wrażliwości, więc czuje ból podczas operacyi. Zdanie jego jednak nie posiada naukowej powagi; Torcy jest jednym z tych sprytnych a odważnych ludzi, którzy potrafią wyzyskiwać ciekawość ludzką. Hipnotyzm inaczej zupełnie traktuje nasz uczony d-r Ochorowicz, którego badania stanowią dziś powagę dla lekarzy i przyrodników francuzkich a dzieła o magnetyzmie i hipnotyzmie są ściśle naukowemi, o ile naukę pogodzić można z przypuszczeniami.

Scena jaką Torcy odegrał w cyrku, w Dijon, była skutkiem zakładu; utrzymywano, że nie będzie miał odwagi wejść do klatki z bestyami, aby w gronie ich zamagnetyzować swoje medium. Torcy zakład wygrał. Łucyą uspił wobec dzikich świadków, ułożył ją na dwóch stołkach jak bezwładną bryłę i kazał lwom nad uspiąną przeskakiwać. Najdzikszym, nie zupełnie jeszcze wytresowanym w menażeryi był lew, „Sultan”, ale i ten skakał jak psiak na rozkaz pogromcy.

Doświadczenie to dreszczem przerażenia przejmowało widzów, mogli każdej chwili być świadkami okropnego nieszczęścia. Wprawdzie wypadek, aby zwierzę zamknięte w klatce i wytresowane wypowiedziało nagle posłuszeństwo swemu panu i rzuciło się na niego jest rzadkim, jednak widz wyobraża sobie zawsze więcej niż się stać może i denerwuje się przypuszczeniem. Każdy pogromca musi staczać walki z krnąbrnymi elewami, musi okładać je razami i ciągle czuwać nad tém, aby wzrok jego i głos działał jak bat na zwierzę, lecz rzadko który ginie w jego szponach. Zwierzę się czai... mruczy... grozi ale rzucić się na pogromcę nie ma odwagi; zupełnie jak spętany niewolnik.

Słynny pogromca Martin jest bohaterem jednej z legend menażeryjnych; głowa jego, podczas przedstawienia, obrócona ku publiczności, znalazła się jednej chwili w paszczy tygrysa. Widzowie śledzić mogli zdala wzruszenie odbijające się na jego twarzy. Nagle uczuł on kły zwierzęcia wbijające się w jego czaszkę; nie robiąc ruchu, zapytał na pozór z wielkim spokojem:

— Czy strzyżę uszami?

— Tak! — zawołał tłum.

— Zmówcie pacierz za moję duszę. Jestem zgubiony!

Jeden z obecnych księży podszedł bliżej; kobiety przyklekły i zaczęto głośnie odmawiać modlitwy za konających. Mężczyźni rzucili się na arenę uzbrojeni w widły i żelazne prety. Oficer jakiś wyjął z kieszeni pistolet i gotował się dać ognia; było już zapóźno — pogromca nie żył. Tygrys igrał z jego trupem.

W Dieppe, pani Leprince okropnie pokaleczoną została także przez tygrysa. Była godzina 10-ta wieczorem, poskromicielka poila zwierzęta; z miską w ręku zbliżyła się do klatki tygrysa, lecz zaledwie wsunęła do niej rękę, zwierzę zatopił szpony w jej ciało tak gwałtownie, że z trudnością zdołała wymknąć się pokaleczona.

Trzech lekarzy, znajdujących się w cyrku, zostało zawezwanych pospiesznie; uznali oni konieczność amputowania ręki. Młoda kobieta oparła się temu stanowczo; czemuże zarabiałaby na życie, zostawszy kaleką... Wtedy jeden z lekarzy zaczął twierdzić, że jeżeli gorączka nie zabije chorą w przeciągu dziesięciu dni, to może być wyleczoną. Nieszczęśliwa chwyciła się tej nadziei jak ostatniej deski zbawienia. Krew, nietamowana, lała się z rany przez dni kilka, ale ręka została uratowana.

W trzy miesiące potem niezwykła kobieta, w której piersi biło nieustraszone serce, zbliżyła się znowu do swego tygrysa,

zwierzę stojące opodal i przyglądające się mu spokojnie. Onie miały z przestachu robotnik stał jakby wryty w miejscu; w tém to położeniu zastał ich właściciel lwa Vallet, który wyprawił się na odszukanie swój zguby. Wziąwszy zbiega za kark, odprowadził go do domu, a robotnik, uwolniony od strachu, wtedy dopiero odzyskał władzę swoich zmysłów.

Raz znów, tenże sam lew rzucił się na Valleta i ugryzł go. W téjże chwili weszła córka pogromcy, którą zwierzę lubił i obawiał się jej zarazem. W mgnieniu oka puścił swoją zdobycz. Odtąd jednakże Vallet nigdy nie mógł wchodzić do klatki inaczej jak w towarzystwie córki, ślicznej i wesołej dziewczynki, którą widziałem igrającą z lwem jak ze szczeniciem.

Każdy człowiek obdarzony zimną krwią, cierpliwością i odwagą, może stać się pogromcą dzikich zwierząt.

Menażerya Numa-Hawa, podczas pobytu w Verviers, stała się ostatnimi czasy widownią tragicznego wypadku. Pomiędzy



Magnetyzer Torcy.

który za żelaznymi prętami więzienia chudł i ryczał z tęsknoty. Ujrawszy panią swoją przyczołgał się do niej i skruszony ją lizać ręką, którą poranił był tak okrutnie.

Chwytając młodych zupełnie tygrysów, lwiąta, lampartów i pantery, i oswajając je zawczasu, tak się opanowywa drapieżną ich naturę, iż z wiekiem stają się one łaskawe i potulne jak psy domowe.

W Algeryi często napotyka się na ulicy arabów, za którymi w ślad idą potulne i spokojne młode lwy, wychowane przy domowym ognisku. Znałem małego murzyna, który sypiał w przykładnej zgodzie z dwoma olbrzymimi lwami; zdolne one były pożreć całą rodzinę murzyna.

Widziałem także swawolnego lwa, który wyrwawszy się z klatki lubiał biegać samopas po polach. Pewnego razu napotkał człowieka pracującego na zagonie; można sobie wyobrazić przerażenie biedaka, gdy podniósłszy głowę ujrzał straszne

zwierzętami znajdował się dwuletni lew zwany Brutus, którego matka pożarła niegdyś w Rzymie doktora Perret. Lew, widząc poraz pierwszy kobietę pogromicielkę wchodzącą do jego klatki, rzucił się na nią z wściekłością; chwycił ją za gardło i pazurami rozdarł jej lice. Dozorca przypadłszy do niego, przemocą otworzył mu paszczę, zmuszając do puszczenia zdobyczy; wtedy lew rozjuszony, cały gniew swój straszny obrócił przeciw dozorcy, który stoczyć z nim musiał zaciętą walkę. Skrwawionego i silnie pokaleczonego ledwie zdołano wyrwać ze szponów zwierzęcia, którego wściekłość podnieconą jeszcze była widokiem i zapachem krwi ludzkiej.

Należałoby zapobiedz powtarzaniu się podobnych wypadków, zabraniając widowisk, które hartują nerwy lecz ujmę przynoszą uczuciom ludzkim.

J. E.

DZIECKO KUPIONE.

POWIEŚĆ

PRZEZ AUTORKĘ „LORDA ERLISTOUN”

przekład z angielskiego J. S.

I.

Dwadzieścia lat przed wybudowaniem tunelu przez górę Św. Gotarda, podróżni jadący z Włoch do Szwajcaryi, musieli zatrzymać się w Andermatt dla wypoczynku. Długo nikt tu jednak nie gościł, pomimo czarów, jakie przed okiem wędrowca roztacza wspaniała natura alpejska. Głębią doliny płynie wartko rzeka Reuss, a wśród groźnych skał wiją się strome górskie drożyny, wiodące ku trzem znanym przejściom: Furca, Św. Gotard i Oberalp.

Sama dolina podczas krótkiego lata jaśnieje szmaragdowym kobiercem zieleni, bogato przetykanym kwiatami właściwymi florze alpejskiej, zbyt jednakże jest wzniesiona ponad poziom morza, żeby mogła być urodzajną. Mało tu roślin nędznego zboża, jeszcze mniej drzew tuli się do szarych ścian kamiennych, zato pastwiska są bujne i ciągną się aż do halizn górskich.

W tej chwili jednak gęste tumany mgły całą zaległy dolinę, powietrze mimo czerwcowej pory chłodne jest i przejmujące, nikt nie śmie opuścić hotelu. Podano właśnie obiad i wszyscy podróżni, sześć czy siedm osób, zasiadło przy *table d'hôte*, zając skromne wytwory szwajcarskiej kuchni.

— Dziś jeszcze jest gorsza niepogoda niż wczoraj, ci trzej włosi mieli bardzo przykrą podróż przez górę Św. Gotarda — rzekł jeden z gości po angielsku do swego sąsiada, niemłodego, poważnego mężczyzny o zmęczonych oczach i zgarbionej postaci.

— Spytań się mojej żony, doktorze, cośmy przeszli podczas tej przeprawy; dotąd jeszcze biedaczka nie może przyjść do siebie.

— O, to prawda — przyświadczyła jego żona, jedyna kobieta przy stole.

Wyglądała na lat czterdzieści, była drobna i szczupła i gdyby nie uśmiech nader miły, łagodne oczy i słodki dźwięk głosu, byłaby nawet zupełnie nieładną.

Mężczyzna nazwany doktorem, tegi, niezgrabny, wysoki, odznaczał się przebiegłym i bystrym wyrazem twarzy, którą prócz tego cechowała jeszcze wielka dobroć. Mówił po angielsku z akcentem, który dowodnie świadczył o amerykańskim jego pochodzeniu.

— Nie przeczę, żeśmy mieli dyabelski czas, przepraszam panią najmocniej, podczas naszej podróży. Przejście jest najniebezpieczniejsze podczas topnienia śniegów, a do tego ten przejmujący zimny deszcz przez ośm godzin. Przemokłem do nitki i dziwię się, że które z nas śmiercią nie przypłaciło tej przeprawy. Szczególniej lękałem się o panią; jakże się pani teraz czuje?

— O! zupełnie dobrze — odrzekła pani Trevena, uśmiechając się łagodnie — chciałabym wiedzieć, czy te dwie kobiety co jechały w sankach przed nami, nie poniosły jakiego szwanku; nikt ich odtąd nie widział, musiały więc w dalszą puścić się podróż, jak pan sądzisz, doktorze?

— Nie wiem — krótko odrzekł Amerykanin.

— Tak mi żal było tej biednej kobiety, wystawionej na tak straszną słotę. Nie widziałam wprawdzie jej twarzy, ale musiała być młodą i ładną. Stara mulatka, która wyglądała na jej pokójkę, była bardzo o nią niespokojna. Widziałam, że niedosyć są zabezpieczone od zimna i deszczu, ofiarowałam więc jeden z moich ciepłych koców, ale potrząsnęła tylko głową i nie chciała przyjąć. Nie zdaje mi się, żeby to była Angielka.

— Prędkiej Amerykanka — rzekł doktor Franklin — jakież tu chude dają kurczęta! Tylko skóra i kości.

— Cóż to dziwnego? — wtrącił pan Trevena — wszystko muszą przynosić z doliny o kilka tysięcy stóp poniżej, bo tu na-

wet kurczęta chować się nie chcą. Jakże smutno i ponuro musi być w Andermatt podczas zimy.

— A jednak ludzie żyją tu przez cały rok. Gospodyni opowiadała mi, że hotel jest otwarty nawet podczas zimy; starsi chłopcy chodzą do szkół w Lucernie, młodsi zaś jeżdżą codzień sankami na lekcję do proboszcza.

— Słuchaj jej tylko, doktorze — rzekł poważny profesor Trevena, patrząc tkliwie na swoją dobrą, cichą żonę — zdaje mi się, że nawet w puszcach afrykańskich Luzanna w przeciągu trzech dni zaprzyjaźniłaby się ze wszystkimi dzikimi i zostałaby powiernicą ich trosk i kłopotów.

Pani Trevena uśmiechnęła się łagodnie.

— To prawda — przyświadczył doktor — tu już wszyscy ją polubili, a najwięcej synek gospodyni, co złamał nóżkę niedawno.

— Pocziwi to ludzie. Zdaje mi się, że znam tu już wszystkich i wiem wszystko.

— Doprawdy? — zapytał doktor, patrząc na nią badawczo — jakim skarbem pańska żona musi być dla pana — dodał, zwracając się do profesora.

— O tak, gdyby nie ona, nie wiem czy dałbym sobie radę w świecie — rzekł pan Trevena, z miłością spoglądając na żonę — nasze życie było bardzo ciężkie, bardzo mozolne.

— Zato teraz jaśniejsza nas czeka przyszłość — przerwała mu pani Trevena — nie będziesz już potrzebował pracować tak ciężko, Auguste. To co teraz odziedziczyłam po wuju, wystarczy nam na skromne i ciche życie na wsi, w naszej kochanej Kornwalii. Rok cały spędziliśmy bardzo przyjemnie we Włoszech — dodała, zwracając się do doktora — mąż mój podjął się uczyć dwóch młodych chłopców angielskich, których rodzice nieszczęśliwie stale nad jeziorem Como, a ja byłam bardzo rada, że przy tej sposobności poznamy tę piękną krainę. Teraz zadanie jego ukończone, możemy więc wracać do ojczyzny.

W panu Trevena odrazu można się było domyśleć uczonego profesora, prawdziwego móla książkowego. Powolny, roztargniony, niepraktyczny, stanowił wybitne przeciwieństwo z ruchliwym i energicznym Amerykaninem.

— Przebaczcie państwo, że was opuszczę — rzekł doktor powstając — obowiązek lekarza przedewszystkiem.

— Pewno pan idziesz do synka gospodyni opatrzyć mu nóżkę? Pozwól pan, pójdę pierwsza i dam mu kilka obrazków, żeby rozweselić biedaka.

— Pańska żona bardzo lubi dzieci — zauważył doktor Franklin, kiedy drzwi się zamknęły za drobną postacią niewieścią w skromnej czarnej sukni — ja sam je lubię, bo mi przypominają moich dziesięcioro malców zostawionych w Kentucky.

— Dziesięcioro? My nie mamy wcale dzieci. Mieliśmy jedno, ale żyło tylko kilka godzin. Moja żona nigdy się nie mogła pocieszyć po tej stracie, głównie też dla rozerwania jej, podjąłem się przeszłego roku dawać lekcje w jednej angielskiej rodzinie, zamieszkałej nad jeziorem Como. Dopiero od lat czterech jesteśmy żonaci; ale byliśmy narzeczonymi przez lat piętnaście. Brak środków nie pozwalał nam się pobrać. Teraz zato jesteśmy bardzo szczęśliwi i nie rozłączymy się już do końca życia.

Przedsiębiorczy Amerykanin z pobłażliwą litością patrzył na tego człowieka, który mimo swęj uczoności i ciężkiej pracy tak długo nie mógł sobie bytu wywalczyć. Jemu samemu wiodło się w życiu, miał dostatnie utrzymanie, pocziwą żonę i dziesięcioro malców, których kochał serdecznie.

— Dobrą masz pan żonę — rzekł z szorstką otwartością — ale i ja jestem szczęśliwy pod tym względem. Takiej drugiej matki, jak doktorowa Franklin, ze świecą szukać trzeba.

— Nie mów pan mojej żonie o dziecku które straciła — z tkliwym niepokojem rzekł profesor, oglądając się wokoło, jest to wiecznie niezagojona rana w jej sercu, ale niezbadane są wyroki Bożkie... Odchodzisz pan?

— Muszę, ktoś na mnie czeka. W naszym zawodzie pierwszą jest cnotą trzymać język za zębami. Dobranoc panu.

— Dobranoc. Jeżeli jutro będzie pogoda, pojedziesz pan z nami do Hospenthal, dobrze?

— Pojadę, tylko nie wiem, czy moja pacjentka...

Ze złością uderzył się po ustach, nie rad, że się wygadał, i szybko wybiegł z pokoju.

W tej chwili drugimi drzwiami weszła profesorowa. Mąż uśmiechnął się do niej; wychudłe, pomarszczone jego oblicze rozpromieniło wyraz miłości i zaufania. Znać było, że tym dwojgu ludziom dobrze jest razem, że łączy ich wspólność uczuć i przekonań, stanowiąca główny warunek szczęścia w małżeństwie, że troski i cierpienia nieodłączne od ziemskiej wędrówki silniej jeszcze zadzierzgają łączące ich węzły.

— Mgła zaczyna opadać i wieczór prawdopodobnie będzie bardzo piękny — rzekła pani Trevena — czy chcesz się przejść ze mną, Auguste?

— Bardzo chętnie, moja droga.

— Pójdziemy może w stronę mostu Dyabelskiego, a jutro pojedziemy do Hospenthal. Chciałabym raz jeszcze być tuż przy linii wiecznych śniegów, widzieć je w blasku słonecznym, nie tak jak wtedy wśród potoków deszczu.

— Dziwię się, żeś życiem nie przypłaciła tej przeprawy, moja biedna Luzanno.

— Tamte dwie kobiety były jeszcze biedniejsze odemnie, bo nie miały nikogo, co by się o nie troszczył — rzekła, biorąc z czułością dłoń męża — często o nich myślę, czy im się co złego nie stało.

— Myślisz o wszystkich, tylko o sobie nigdy, Luzanno. Chodź, chciałem z tobą pomówić o wyjeździe do Anglii.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Uroczystość berlińska dziewięćdziesięcioletniej rocznicy urodzin cesarza Wilhelma — Konstelacje pokojowe. — Traktat niemiecko-austriacko-włoski. — Zbliżenie się trzech cesarstw. — Sprawa bułgarska. — Postawa Porty. — Obojętność pozorna innych mocarstw. — Lesseps i Herbert. — Prasa berlińska w stosunku do Francji. — Jak w Wiedniu patrzono na traktat świeżo zawarty. — Oświadczenie Tiszy. — Giełdy.

„Berlin 22 marca. Nigdy jeszcze Berlin nie był świadkiem tak wspaniałego festynu jak dzisiejszy. Miasto całe udekorowane było świetnie. Wszystko odbyło się ściśle według programu. Popołudniu upadł deszcz, który chwilowo popsuł humor uszczęśliwionym berlińczykom. Mimo tego wieczorem o godzinie 7 rozpoczęła illuminacja wypadła okazale. Punkt o godzinie 9 zrana cesarzowa pierwsza weszła z życzeniami do gabinetu cesarza. O godzinie 11 złożyła życzenia cała rodzina królewska, o wpół do dwunastej cesarz przyjmował przybyłych do Berlina książąt krwi, a zaraz potem ściślejszy orszak dworski. Popołudniu Moltke i Bismark przyjmowani byli na osobnym posiedzeniu. Obaj podobno obdarzeni zostali szczególnymi dowodami łaski monarszej. O godz. 4 popołudniu odbył się w pałacu następcy tronu obiad rodzinny. O wpół do 9-tę zaczął się w zamku królewskim wieczór, na który wydano 900 zaproszeń. Nadeszła nieprzeliczona ilość upominków. Ze wszystkich stron Niemiec napływają wiadomości o manifestacjach patriotycznych.”

Telegram powyższy jest dotąd jedynym źródłem opisu uroczystości 90-tę rocznicy urodzin cesarza Wilhelma, uroczystości, która rozpoczęła się w poniedziałek wieczór olbrzymim pochodem z pochodniami (*Fakelzug*), urządzonym na cześć cesarza przez młodzież uniwersytecką, a której świat polityczny nadał imponującą nazwę „Święta pokoju”.

Jakoż, przypadkiem czy umyślnie, okoliczności tak się złożyły, że sędziwy solenizant, otoczony przyjaznym wieńcem ośmdziesięciu pięciu reprezentantów rodzin panujących europejskich, mógł wierzyć, że dzień jego urodzin będzie dniem rozpoczynającym erę pokojową dla świata. Zawarty na kilka zaledwie dni przedtem traktat niemiecko-austriacko-włoski, wiadomość o zbliżeniu się wzajemnym trzech cesarstw, stwierdzona jednoczesnymi depeszami z Berlina, Wiednia i Paryża, oto fakta główne, na których przypuszczenie to oprzeć się mogło.

Nawet sprawa bułgarska, będąca najniebezpieczniejszym nieporozumieniem europejskich zarzewiem, przycichła jakoś na

ten czas, jakby nie chcąc mącić ogólnej harmonii pokojowej, do jakiej się Europa na ten uroczysty dzień dostroiła. Jedna Porta, zniecierpliwiona tym ciągłym niepokojem, jaki kwestya bułgarska sprawia jej tuż pod boki, wystąpiła do mocarstw z przedstawieniem konieczności uregulowania w jakibądź sposób tej sprawy, ale albo jej nie na to nie odpowiedziano, albo odpowiedziano w sposób wymijający.

Zresztą w Bułgarii panuje w tej chwili zupełny spokój. Regencya, wystąpiwszy w pierwszej chwili z niespodzianą energią, dzisiaj, po stłumieniu rokoszu, nie nadużywa swego zwycięstwa; większa część uwięzionych została wypuszczoną na wolność. Pomimo tego spokoju podobno opozycja nie traci ani chwili czasu i przygotowuje nowy ruch, upatrując tylko chwili stosownej do jego wybuchu. Wiadomo, że Cankow jako jedyny środek załatwienia sprawy bułgarskiej proponował przy końcu swoich rokowań z Portą, okupacją turecką; otóż jego stronnicy zdają się i teraz zmierzać do osiągnięcia tego celu. Uorganizowali oni w Tracji hufiec zbrojny, złożony przeważnie z czarnogórców, który miał wpaść do Rumelii wschodniej i wywoławszy tam zaburzenia, zmusić Turków do zbrojnej interwencji. Jak dalece atoli zamiar ten nie trafia w myśl Porty, dowód w tym, że właśnie ona zawiadomiła władze sofijskie o utworzeniu owego oddziału i sama jaknajściślej nadzór nad jego ruchami zarządziła.

Do rzędu manifestantów pokojowych zaliczyć należy Lessepsa, którego wycieczka do Berlina, a raczej cel jej, dotąd pozostaje zagadką. Nie ulega jednak wątpliwości, że jeżeli miał jaką misję, to tylko pokojową. W powrocie do Paryża, wielki inżynier ofiarował w Kolonii konsulowi Brandtowi swoją fotografią, na której własnoręcznie wypisał, że „Niemcy są naturalnym przyjacielem Francji.” Zadaniem jego zatem w Berlinie było chyba poparcie działalności pana Herberta, który w zabiegach swoich o przyjaźń niemiecką tak daleko się posunął, że to aż wywołało niezadowolenie w Paryżu. Na radzie ministrów była mowa o odwołaniu zbyt gorliwego orędownika zgody sąsiedzkiej, oparł się temu jednak minister spraw zagranicznych.

Czy ten prąd pokojowy utrzyma się na długo po uroczystości berlińskiej, trudno odgadnąć. Prasa berlińska, niezmierzającą wagę przywiązująca do nowego traktatu z Włochami, sama pierwsza budzi niepokój, od chwili zawarcia owego traktatu przybierając względem Francji ton znów o wiele ostrzejszy i wyzywający.

Za to w Wiedniu mniej wartości przypisują pomienionemu traktatowi, twierdząc, że przymierza pokojowe nigdy jeszcze nie odpowiadały pokładanym w nich nadziejom. Przymierze austro-niemieckie nie przyniosło dotąd żadnych praktycznych rezultatów, a włosi przy pierwszej lepszej sposobności wrócą do najkorzystniejszej zawsze dla nich polityki wolnej ręki. Podobny też pogląd miał zapewne na myśli prezes ministrów węgierskich, Tisza, gdy podczas obrad izby deputowanych węgierskich nad pokryciem 52½ milionowego kredytu na cele wojenne oświadczył, iż uchwalenie tego kredytu „raczej wzmocniło niż osłabiło widoki pokojowe”, gdyż armia austro-węgierska jest zupełnie, tak samo jak wszystkie inne armie, gotowa do boju, i może być każdej chwili rzucona na szalę losów polityki europejskiej.

Wszystko to nie wygląda arcy pokojowo; takich pogroźek nie rzuca się w chwilach zapewnionej spokojności ogólnej; a jeśli do tych wskazówek dodamy jeszcze usposobienie rynków pieniężnych, które nie chcą jakoś dać wiary horoskopom pokojowym, będziemy mieli skompletowaną odwrotną stronę medalu, na którym z głównej strony jaśnieje obraz „Święta pokojowego” berlińskiego.



610) ODPOWIEDŹ na pytanie: Jakim zmianom ulega fizjonomia chorego dziecka?

Dopóki dziecko nie umie mówić, z trudnością przychodzi zbadać chęci jego; wyjątek pod tym względem stanowi matka, która instynktem miłości odgaduje potrzeby niemowlęcia i ruchy jego rozumie; lecz nawet i matka traci

głowę i radzić sobie nie umie, gdy słyszy jęki chorąg dziesięcy i widzi ją w kolebce z wykrzywioną od bólu twarzą. Jedyną nadzieją w lekarzu.

Jeżeli lekarz młody, sam często jest w kłopotach, gdy przychodzi mu zbadać przyczynę choroby. Niemowlę nie może mu powiedzieć, ani gdzie cierpi, ani odkąd, a krzyki jego i ruchy niespokojne nie rzucają żadnego światła na początek słabości. Tylko doświadczony lekarz jest w możności zebrania w ciągu praktyki pewnych cech fizjologicznych, pozwalających mu z ruchów i mimiki chorego dziecka oznaczyć przybliżenie siedliska choroby.

Przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na niemą wymowę oka, które u zdrowego dziecka jest jasne i wesołe w świat patrzy, u chorego zaś zamglone, ciemne i schowane głęboko w jamę oczną.

Oblicze dziecka jest zwykle pełne i bez wyrazu, okazuje tylko spokój, harmonię duchową nie zamąconą jeszcze wrażeniami życia mózgowego. I gęstota ciała dziecka, ruchy jego ciała, przebieganie nóżkami, wyciąganie się w kolebce, zdradzają spokój organizmu i zdrowie zupełne.

Wszystko to zmienia się odrazu, jak tylko dziecko zachoruje. Twarzyczka przybiera natychmiast widoczny wyraz cierpienia, staje się *facies dolorosa*, gra mimiczna zmienia się tak charakterystycznie, że sama przez się naprowadzić może na poznanie natury cierpienia.

Jeżeli dziecko krzyczy gwałtownie a rozwarłszy usta i przymrużywszy oczy, zanosi się od wrzasku, to bez badania oddechu domyślać się można kaszlu dychawicznego. Jeżeli rączki garnie do ust, to mamy chorobę zębów lub jamy ustnej. Przy kolkach zaś majda nóżkami, przyciąga je do brzuszka i odrzuca, i z zaczerwienioną twarzą, złane potem, krzyczy.

Ciężko chore dzieci nie krzyczą, jak to zdarza się przy chorobach płucnych i brzusznych. Na twarzy dziecka maluje się tylko wyraz niewypowiedzianego smutku i przygnębienia, jak gdyby chciało krzyknąć z bólu i nagle namiętnie się inaczej. Charakterystycznym i zawsze odmiennym jest położenie dzieci w zapaleniu płuc, błony płucnej i brzusznej. W pierwszym razie dziecko leży zawsze na grzbiecie, w drugim na boku i to na chorym; przy zapaleniu zaś błony brzusznej leży wznak z podciągniętymi nóżkami, z niewysłownym wyrazem przygnębienia na twarzy. Przy krupie, który zwęża krtań i oddech tamuje, twarz dziecka napiętnowana jest straszną, rozdzierającą serce trwogą, wszystkie mięśnie szyi i piersi nateżają się, by płucem dostarczyć powietrza. Słynny d-r Romberg podał dla tej krytycznej chwili cechy fizjonomii bardzo charakterystyczną; dość rzucić okiem na nozdrza dziecka chorego na krup: jeżeli są spokojne, można nie obawiać się o stan chorego.

Podobną trwogę widać na twarzach dzieci chorych na serce: dziecko siedzi z trwożnie wylupionymi oczami, mięśnie drętwieją, słabną, „dziecko wydłuża twarz”, mówimy zwykle.

Niemniej wybitnym jest wyraz twarzy w chorobach mózgowych. Przy zapaleniu błony mózgowej twarzyczka traci zwykły swój wygląd dziecienny i przybiera się w odrętwiałą powagę, w spokój uroczysty, złowrogi; głowa ściągnięta jest ku tyłowi, oko wlepione w jeden punkt, brwi zmarszczone, wargi ściśnięte. Ten charakter podniosły, uroczysty, dał początek wyrażeniu: „dzieci bawią się z aniołami.”

Przy zapaleniu kiszek ciało dziecka wysycha jak mumia, wydaje się ciałem starca, poduszeczka tłuszczowa pod skórą znika i dziecko dostaje tak zwaną „twarz Woltera”.

Znany berliński lekarz dziecienny, prof. Henoch, powiada: dziecko zdrowe odróżnić można od chorego po samém leżeniu; zdrowe leży zwykle z podniesionymi rączkami, słabe nie przybiera nigdy tego położenia lecz ma rączki na dół obwieszone.

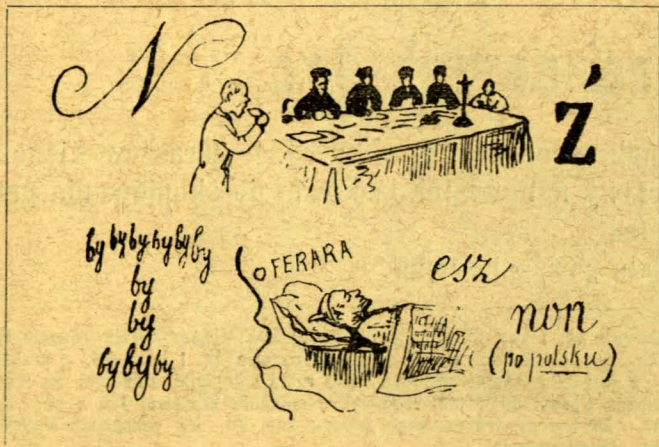
611) PYTANIE: Czy używanie alkoholu jest bezwarunkowo szkodliwe?

Lamigłówka kwadratowa, botaniczna z N-ru 9.

P
S I T
P L E S Ń
S Z A R O T A
D Z I E W A N N A
P I E R W I O S N K A
M U C H O M O R Y
S Z Y S Z K A
S E N E S
O K O
A

Ze skarba prawd. Największym nieszczęściem starości jest to, że dokoła niej powoli robi się pustka; w końcu ma do wyboru albo nikogo albo tylko siebie samą kochać.

R E B U S.



Rebus z N-ru 11. Żli ludzie lubią ciemności.

Kiedy Cremieux w 1871 r. był w Tours gościem u zmarłego niedawnego arcybiskupa Guiberta, żegnając się z nim, prosił, aby kapłan pozwolił mu się

uściśnąć. Arcybiskup zezwolił i minister pocałował go, mówiąc: „Ten uścisk równa oba testamenty.” (Cremieux był izraelitą).

Biskup uśmiechnął się na to i odrzekł: „Kto jak pan zna prawo, ten wie zapewne, że w sprawach testamentowych ostatni znosi wszystkie poprzednie.”

Pewien sławny lekarz, widząc przy łożu śmierci wielu swoich kolegów, rzekł: „Umieram z tą pociechą, że pozostawię po sobie trzech wielkich lekarzy.” — Każdy pewny był, że usłyszy swoje nazwisko. „Są oni — kończył umierający — umiarkowanie, ruch i woda.”

JAK SOBIE RADZIĆ.

Najnowszy sposób leczenia krupu. W Chicago, d-r Dwyer leczy dzieci z tej zabójczej choroby bez operacji chirurgicznych. Wprowadza on rurkę gutaperkową przez usta do kanału oddechowego i tym sposobem zabezpiecza chorego od uduszenia. Ułatwiwszy dopływ powietrza do zatakowanego organu, leczenie prawie zawsze kończy się pomyślnym skutkiem. Sposób ten praktykowany powszechnie w Stanach Zjednoczonych, pierwszy raz był zastosowany w r. 1858, przez lekarza francuskiego Bouchut'a.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Pokoju horoskopy, jakie w ubiegłym tygodniu stawiano sytuacji politycznej nie mogły dodać bodźca spekulacji, podnieconej nieco poprzednimi widokami wojennymi; dlatego też w handlu zbożowym nie możemy zaznaczyć zmian na lepsze. W Gdańsku wprawdzie ceny utrzymywały się w dawnym poziomie, ale na rynkach angielskich panowało usposobienie słabe, które udzieliło się i innym, z wyjątkiem rynków austriackich, gdzie mniej więcej usposobienie pozostało niezmiennie. Z Odessy donoszą o dosyć znanych obrotach w dniach ostatnich.

Rynki pieniężne wciąż zachowują postawę niedowierzającą; ożywiwszy się nieco w środku ubiegłego tygodnia, w bieżącym znów popadły w apatię, z której niebardzo otrząsnęły się nawet w wiliu uroczystości berlińskich. Kurs rubli na giełdzie berlińskiej, doszedłszy w ubiegłą środę do 182.20, to jest podniosłszy się w ciągu jednej doby o 70 fenigów, spadł znów w bieżącym tygodniu na 181, a w wiliu urodzin cesarza Wilhelma podniósł się zaledwie na 181.40. W dzień uroczystości berlińskiej nie było zebrania giełdowego.

Warszawa, d. 23 marca 1887 r. 5/10 Listy Zast. (za rs. 100) 101.15. — Listy Zast. ser. II lit. A. 101. — Listy Zast. ser. III lit. A. 100.90. — Listy Zast. M. W. I ser. 99.50. — Listy Zast. M. W. II ser. 99. — Listy Zast. M. W. III ser. 98.75. — Listy likwidacyjne Król. Pol. 94.60. — Marka niem. kop. 55 1/2. — zł. reński k. 88 1/2. — frank k. 45. — półimperyal rs. 9 k. 21; wartość rubla w złocie k. 56.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 8 k. —. — Żyto rs. 5 k. —. — Jęczmień rs. 4 k. 40. — Owies rs. 3 k. 20. — Groch rs. 6.

— na stacyi Praga. Za pud. Pszenica rs. 1 k 30. — Żyto k. 85. — Jęczmień k. 86. — Owies k. 86. — Groch k. 90 — Gryka k. 85.



Nowe kopalnie złota. (Biedakowi w Szawlach.) Z listu pańskiego, siłacego się na humor, przeglądają lzy szczere; brak roboty w mieście i w okolicy, rzemieślnicy nie dostają żadnych obstarunków a fuszerka żydowska tak się rozwiła, że niepodobna człowiekowi uczciwemu z nią konkurować. Chcesz więc pan iść do obcych ziem, chcesz na kraj świata wędrować ze swą rodziną, ale nie wiesz dokąd iść, bo ze wszystkich stron dochodzą cię też same skargi na brak zajęcia, na bankructwa, na wydzieranie sobie wzajemne kawałka chleba; szukasz miejsca na mapach, gdzieby można było osiąść spokojnie i mieć pewną robotę... szukasz nowych kopalni złota, o których tyle się pięknego naczynałeś w młodości. Niestety! wszystko to co pan słyszysz o biedzie w innych krajach jest prawdą, cudzoziemiec nie może liczyć na pomoc tam, gdzie miejscowi z głodu umierają; kopalni złota wyrzec się trzeba — współzawodniczyć z tłumem szumowin z całego świata może tylko człowiek oswojony nawet z morderstwem ale nie cichy mieszkaniem zakątką.

Szukaj pan na swej „podartej i zatłuszczonej” mapie Australii a w niej Kimberley, dokąd teraz ciągną tłumy rozbitek z całej Europy, Azji i Ameryki. Nowe miny złote leżą na krańcu pustyni, w głębokich piaskach i są podobno bardzo obfite; lecz zaledwie połowa emigrantów do nich się dostaje; druga połowa zasiewa swemi trupami piaski kilkusetmilionowej pustyni lub ginie pod nożem dzikich tuziemców.

Drugie pokłady złota odkryto także niedawno w Afryce, na terytorium należącym do rzeczypospolitej Transwalickiej. Obfitość złota ma być wielka, dojazd ułatwiają koleje żelazne, ale dostanie się do kopalni cudzoziemcowi, zwłaszcza nieznanemu języka portugalskiego, jest rzeczą nieprawdopodobną. Tu dostępu broni nie dziki człowiek opatrzone tylko nożem, ale cywilizowany europejczyk, który zapomocą kulki lub stryczka pozbywa się współzawodnika. Czyż mieszkaniom Szawel i tym podobnych ustroni znajdzie chleb w takich jaskiniach?

Post-scriptum.

L. W. Białorusin. Ależ zarzut nie dotyczył sz: pana lecz autora życiorysu ś. p. Hadziewiczza; autor zgryźliwie wyraził się o swoim profesorsze, nie usprawiedliwiają dostatecznie swej niechęci. Śmieszne jest jego przypiekanie się do pochodzenia tatarskiego lub tureckiego; czyż tatar albo turek nie może być poczciwym człowiekiem? S. p. H. nie pochodził od tatarów, ale gdyby i tak było, zasługuje na dobre wspomnienie, którego mu ów biograf odmówił. Z przyjemnością dowiadujemy się, że sz. nasz korespondent był kolegą ś. p. H. jako profesor b. Szkoły sztuk pięknych, i jest człowiekiem zacnym. Kiedy za wychowanie synów tak wytrwale bronił dobrego imienia ich przewodnika. — Znajomemu. Szarada doskonała, wiersz sympatyczny ale drukowanym nie będzie. — **Poezie 25-cio letniemu, na wsi podolskiej, p. W. T. w O. i p. Z. D. w B.** Szlachetne, piękne uczucie kierowało piórami panów, ale wiersze są ulomne; nie dałyby się nawet poprawić. Czujmy, kochajmy a i bez rymów serce nasze w łód się nie zamieni.

PRZEWODNIK.

Exsiccator. (P. Bazilewski, inżynier w mieście Wierny.) Inżynier Ritter, wynalazca „Exsiccatora” mieszka w Warszawie, ulica Królewska n-r 39. Wysła na żądanie broszury bezpłatne, w języku polskim lub rosyjskim, objaśniające użycie tego narzędzia do osuszania wilgotnych murów i zabezpieczenia drzewa od gnicia, grzybka i pęknięcia. Próby z „Exsiccatorem” dokonywane w Warszawie wypadły pomyślnie, jak twierdzą świadectwa, ogłaszane w gazetach, osób bezpośrednio zainteresowanych. Inżynier Ritter w broszurze swojej wymienia

Rekomendujemy artystę-malarza p. F. Brzozowskiego; niejedna uczennica tego nauczyciela rysunkiem i malarstwem zarabia na swe utrzymanie. — **Obywatelce w Siedlcach.** Warszawska lecznica zwierząt istnieje przy ulicy Hożej, n-r 64; leczą w niej konie, psy, owce i barany. „Biżu” pani chociaż wygląda jak „klejnocik”, jest tylko psem, więc na kurację trzeba go oddać do weterynarza a nie do jublera. — **Na wpisy dla uczniów.** (P. A. W.) Każdy grosz z wdzięcznością przyjmujemy. Dajcie! — **P. Os w Łomży.** Bez kaucyi nie otrzymasz pan pozwolenia na założenie lombardu; o innych szczegółach poinformuje jaki adwokat. — **P. Usp. w Piotrkowie.** W r. b. Towarzystwo Dobroczynności wysła 40 chłopców na ku-



Lew „Sultan”.

kraje zagraniczne, do których „Exsiccator” w większej ilości zapotrzebowano. — **P. A. H. w Rohaczewie.** Tygodnik za r. 86 rs. 4, przesłać możemy. Całego wydania Krasieńskiego nie dostanie. Premium na portret Mickiewicza, którego jest b. mała ilość, zmienić nie możemy. Pseudonimów zdradzać nie wypada bez upoważnienia ich właścicieli, chociaż wierzymy przyrzeczeniu co do utrzymania sekretu; jeżeli p. S. pozwoli — najchętniej zaspokoimy ciekawość. — **P. Z. v. L.** Za każdą pracę literacką przyjętą do druku płacimy ale z ofiarowanego tłumaczenia teraz korzystać nie możemy. Zapas mamy wielki. — **P. Kaba. w Tomaszewie lubelskim.** Nowella nie wyszła w książce. — **Nauczyciel rysunków.** (P. As. Tur. w W.)

raca do Ciechocinka, są to wszystko sieroty skrofuliczne. Trzeba podać prośbę o przyjęcie do ich grona dziecka niezmężnych rodziców; może Tow. da przychylną odpowiedź, chociaż fundusze jakimi rozporządza nie wystarczają nawet dla dzieci warszawskich. — **Jakajacemu się w W.** Specjaliści nie znamy; każdy dobry lekarz potrafi zbadać powód tej ułomności; jeśli jest organiczną, to może wymagać operacji, jeśli zaś pochodzi z zaniedbanego wychowania, to wyleczy silna wola, uwaga nad wymawianiem, czytanie głośne i deklamacja. — **P. Z. R. w Jurkow.** Maski i rękawiczki pszczelarskie wyrabia fabryka E. Chrzanowskiego, ulica Bielańska, n-r 16. Ceny są różne; fabryka szczegółowo odpowie.

Treść numeru 586 *Biesiady Literackiej*, ilustracji warszawskiej: Ś. p. Józef Ignacy Kraszewski. — Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.). — Na ziemi i na gwiazdach. — Ostatnie naboje. — Odczyty. — Raptularz tygodniowy. — Magnetyzer Torcy. — Dziecko kupione, powieść przez autorkę „Lorda Erlistoun”. — Listy polityczne. — Jakim zmianom ulega fizjonomia chorego dziecka? — Ze skarba prawd. — Humorystka. — Jak sobie radzić. — Rolnictwo, przemysł, giełda. — Gazetka. — Post-scriptum. — *Rysunki:* Józef Ignacy Kraszewski. — Ostatnie naboje. (Obraz J. Lavée). — Magnetyzer Torcy. — Lew „Sultan”. — Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkusz 12.

Tegorocznii prenumeratorowie *Biesiady Literackiej* otrzymają **bezpłatnie** portret olejny kolorowany, artystycznie wykonany:

Józefa Ignacego Kraszewskiego,

podług portretu oryginalnego przez hr. Mniszcha. Oryginał uznany przez ś. p. J. I. Kraszewskiego za najlepszy ze wszystkich Jego portretów i fotografii, użyczony nam został łaskawie do skopiowania przez syna Jego, p. Franciszka Kraszewskiego.

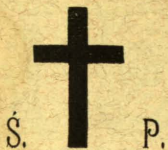
Wykończenie oleodruku zostało przyspieszone.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monety obce, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Марта 1887. — *Biesiada Literacka* wychodzi w każdy piątek. — Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biurow Redaktora - Wydawcy **Władysława Maleszewskiego:** Chmielna Nr 26.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

Kraszewski już spokojny...

Na boleść wielką musieliśmy szukać ulgi, aby nie zdradzić posterunku, na którym trzeba stać trzeźwym i mężnym, jak stał do ostatniej chwili nasz mistrz, nasz nauczyciel, nasz ojciec duchowy. Ulgi nie szukaliśmy w starej prawdzie, że wszystko co z prochu powstało w proch się obróci — byłaby to bezsilna rezygnacja; nie szukaliśmy jej w przeświadczeniu, że tylu wielkich już utraciliśmy — byłaby to niewdzięczność; szukaliśmy ulgi w cierniach, jakie podesłało życie pod nogi Kraszewskiego i znaleźliśmy ją... On już cierni nie czuje, już mu jest dobrze, już jest spokojny.

Na łożu śmiertelnym spoczywa wiekopomnej zasługi mąż, który dał życie duchowe kilku pokoleniom, którego ręka dziś już bezwładna przez pół wieku karmiła całe społeczeństwo. Przenosimy się myślą na obcą ziemię, do genewskiego zajazdu pod godłem „Pokoju”, i patrzymy na oblicze czcigodne i klękamy przy łożu, aby drżącymi usty dotknąć ręki, która nam już nic nie da...

Czyż mamy przypominać zasługi, jakie Kraszewski dla narodu położył; któż ich nie zna, któż nie jest jego dłużnikiem — my wszyscy wykarmiliśmy się jego myślą, na nas wszystkich spłynęła sława, jaką posiadał u obcych.

I Kraszewski miał swoje wiosnę, swoje lato — obdarzony olbrzymim talentem i równie olbrzymim zapałem do pracy, nie wypuszczał z ręki ani na chwilę sierpa; ale żniwiarz ten nawet w zimie swego życia nie schodził z pola i jak za dni wiosennych zachęcał do wytrwania — do wiary w sprawiedliwość Boga.

Mógł On grzeszyć zwątpieniem, kiedy noce bezsenne przepędzał w więzieniu magdeburskim — a grzech ten byłby mu łatwo przebaczone, lecz nawet zza kraty pruskiej wysłał w świat — Hosanna!

Ani jedno słowo zwątpienia w tych czarnych chwilach nie zrodziło się w Jego duszy a jeśli się i zrodziło — to truł niemi tylko siebie, czytelnikom go nie dawał.

Odzyskał nareszcie wolność ale nie odzyskał już zdrowia; zgarbiony, schorowany, przenoszony na rękach, jak dziecko, nie szydził z życia, które kończyło się takim kalectwem, ale mówił: warto pracować — i pracował.

Tęj potęgi ducha miał zapas niewyczerpany, leczyl On nim także braci po lutni; z San-Remo wybrał się do druha swojego Lenartowicza, do Florencji, aby pokrzepić go nie twarzą swoją zapadłą, nie postawą pogarbiającą ale słowem, które nigdy nie rodziło zwątpienia. I wrócił do swego gniazdko włoskiego pocieszony, że spełnił dobry uczynek, że druha uleczył on stary, bezsilny rozbitek, i myślał znowu zabrać się do pracy; niestety, pracy tej nie widział nawet początku, bo zaledwie z podróży wypoczął, trzęsienie ziemi nawiedziło San-Remo i zrujnowało Jego domek najęty. Przeniósł się do budki w ogrodzie, zbitę z tarcic, bez żadnej wygody, nie wiedząc co robić — zostać czy uciekać... i na jaki kraj świata.

W tej budce, wobec ruin świeżych, siedząc na tapczanie, nasz olbrzym ducha jeszcze kreślił listy i ry-

sunki, jeszcze pismem opowiadał o strasznej klęsce, której padł ofiarą. Kiedy wszyscy załamywali ręce, i z rozpaczą pytali: Boże! zaco nas tak ciężko karzesz — On znosił krzyż z pokorą.

Wierzył, że jak Mistrz Boży Golgotą zbawił ludzkość całą, tak każdy z nas cierpieniem swoim mężnie znoszonem może odkupić tych, którzy cierpieć nie chcą lub nie potrafią.

Kraszewski opuścił ową budkę i pojechał na gościnną ziemię Helwetów, do Genewy, gdzie go oczekiwał drugi mistrz sędziwy — T. T. Jeź.

W zajeździe pod godłem „Pokoju” myślał odpocząć, aby potem zająć się wynalezieniem stałego mieszkania... znalazł je nie szukając, znalazł w grobie na ziemi pięknej, szlachetnej, sławnej i bohaterskiej ale nie swojej.

Zasnął na ręku kilku rodaków, otoczony życzeniami przyjaciół, którzy solenizantowi nadesłali telegramy z różnych stron świata; telegramów, listów, które tak lubił odbierać, już nie czytał, już ich nie rozumiał, agonja trwająca dni kilka zakończyła się śmiercią w sam dzień Świętego Józefa — w dzień imienia.

Kiedyśmy wysyłali od siebie życzenia, już d-r Laskowski doniósł był Warszawie o groźnym stanie swego dostojnego pacjenta — jednak wieść ta nie powstrzymała nas; tak gorąco pragnęliśmy żeby żył... pragnienie dało nam wiarę — czekaliśmy prawie pewni na wiadomość, że niebezpieczeństwo minęło.

Tym razem wiara, chociaż okupiona miłością serdeczną — zawiodła.

Gdzie spoczną najczcigodniejsze szczątki Kraszewskiego, czy będziemy mogli uczestniczyć w oddaniu im ostatniej posługi — o tem jeszcze nie wiemy. Niech wśród nas wyrosnie Jego mogiła; miejmy możność dzieciom swoim pokazać miejsce, gdzie spoczywa nauczyciel ich ojców, mistrz starej wiary, dzwonnik, który przez całe życie ostrzegał, że popiół gorszy od płomienia, zwątpienie od głodu.

Dzwon Jego odzywał się ciągle: ducha nie gaście! Chociaż ręka dzwonnika już martwa, spuścizna Jego wiecznie przypominać będzie hasło to samo.

Korząc się przed wyrokami Boga, żegnamy Cię Mistrzu nasz ukochany, drogi. W świątecznej szacie ducha zbliżamy się do zwłok jednego z największych mocarzy polskiej literatury, kładziemy je na złotych marach i niesiemy na barkach do grobu wysłanego nie laurem ani wawrzynem ale liściem brzozy i lipy, nie złotogłowiem, ale gałęzmi podlaskiej jodły, do której tęsknił na obczyźnie.

W Tobie nasz Mistrzu nieśmiertelny, żegnamy także serdecznego przyjaciela naszego pisma; pracowałeś z nami ciągle od samego początku narodzin Biesiady. Nie ujrzymy już na jej kartach ciepłych, mądrych słów Twoich, nie skorzystamy z rad i uwag ojcowskich. „Listy z zakątka” już się skończyły; z zakątka, który teraz zamieszkałeś — daj nam Swoje błogosławieństwo!

HERB NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg)

Tak stały rzeczy. Tymczasem godziny mijaly, a p. Józefa nie było. P. Jędrzej wysłał żydka w misji dyplomatycznej na zwiady; żydek wrócił w sam wieczór, a wieści, które przyniósł, nie były najlepsze: p. Józefa w domu nie zastał, a za to pano-
wał tam jakiś rwetes niezwykły. Wszystko to potwierdzało słowa pani Eufrozyny, a gdy noc nadeszła, rozpostarła się nad dworem Konopówki ołowiana chmura.

Na nieszczęście dotąd nie było proboszcza ani gazety; za-
trzymał się gdzieś u sąsiada, zaś wróciwszy do domu, prędko spać
się położył a jeszcze prędzej zasnął.

Mimo tego wszystkiego nie opuszczała go jeszcze nadzieja;
pan Józef mógł nadjechać i jednym uśmiechem rozpędzić te
czarne mary, które wszystkich trapiły. Wszystko, co pani
Eufrozyna opowiadała, mogło być bajką wierutną.

Nadeszła północ. P. Jędrzej wychodził co chwila na ga-
nek, z ganku wracał do szyby, wyteżał i przykładł ucho, ale
nic nie słyszał. Wiatr tylko szumiał z nad drzew i potok huczał
pod mostkiem.

W kurniku zaczęły pisać koguty. P. Jędrzej spojrzął na
zegar; była 2-ga po północy. Nadzieja zaczęła go opuszczać.

Do pokoju weszła pani Jędrzejowa ze stoczkiem w rękę;
była blada, miała oczy zapłakane.

— Zdaje się—rzekła do męża—że już nie przyjedzie!

Pan Jędrzej zaciśnął usta i milczał chwilę.

— Dłaczegóż nie—krzyknął z impetem—do narzeczonej
powinien choćby o trzeciej po północy przyjechać, aby ją uspo-
koić... Cicho! szyba zabrzęczała!

I pospieszył do okna. Cicho i głucho.

Pani Jędrzejowa uśmiechnęła się smutno.

— Pani Eufrozyna słusznie mówiła: w Pałaczkach zła-
pali go i obmotali. Podobały się im krocie, których potrzebu-
ją. Nic dziwnego: matka pana Józefa otwarcie o tém mówiła.
Zasmakowała w jaśnie państwie!

Pan Jędrzej zapalił jedenastą fajkę.

— Nie mogę temu uwierzyć, to byłoby zawielkiem nie-
szczęściem dla nas... Czyś słyszała szybę?

— Nic nie słysząc. O tej godzinie już nie przyjedzie.
Siedzi w Pałaczkach, tam mu dobrze.

— Nigdy nic mądrego nie powiesz... same głupstwa!

— Wymyśl-że co mędrszego!

— Mógł w drodze koło złamać... mógł dyszel pęknąć...
a zresztą mógł który koń zachorować. A kasztan białonogi
miał skłonność do tego; już raz się ochwacił a drugi raz kolano
sobie nabił.

Pani Jędrzejowa machnęła ręką.

— Rany Bożkie—krzyknął p. Jędrzej, dmuchnąwszy chmu-
rą dymu przed siebie—jaki to człowiek nieszczęśliwy! Ani przy-
jaciela ani przyjaciółki! Proboszcz śpi jak po stypie, schowaw-
szy gazety pod poduszkę, a zacna małżonka zamiast powiedzieć
coś uczciwego, macha rękami jak telegraf! Dyabli mogą porwać
człowieka.

P. Jędrzej przeszedł się kilka razy; żal mu się zrobiło, że
tak ostro przemówił do żony. Zbliżył się do niej.

— Czemuż, moje serce, tak mię martwisz?—rzekł głasz-
cząc ją po ramieniu. Wszak wiesz, że tu chodzi o drogie dziecko
nasze...

— Cóż ja winna, jeżeli bredzisz jak w gorączce. Widzisz
koła i dyszle połamane... a ja ci mówię, że p. Józef siedzi sobie
zdrowo w Pałaczkach i słucha śpiewu Aurelii. Lepiej może
było odesłać zaraz przez posłańca pierścionki; przynajmniej
uniknęlibyśmy wstydu zrywając sami.

— Daruj mi duszko, ale ty masz zawsze głupie koncepta!

Łzy jak groch duże stoczyły się po twarzy p. Jędrzeja.

— Ty tak mówisz—szlochał—jakbyś nie była matką He-

luni; jak można przypuszczać rzeczy, na które nie masz dowo-
dów. Któraż matka tak mówi!

Pani Jędrzejowa westchnęła.

— Najlepszym dowodem jest—rzekła—że dzisiaj nie
przyjechał.

— Może przyjechać jutro.

— Jeżeli w Pałaczkach dostanie odkosza.

Pan Jędrzej wyprostował się.

— Co? z odkoszem z Pałaczką przyjedzie do nas!

Po chwili skurczył się jakby pod ciężarem jakim i z trwo-
gą obejrzał się dokoła.

— Cytl!—szepnął półgłosem—aby Helunia nie usłyszała.

Uśmiech gorzki przebiegł po twarzy pani Jędrzejowej.

— Nie znasz serca kobiecego, Helunia przeczuje to sama.

— Czy śpi teraz?

— Chodź a obaczysz.

P. Jędrzej pociągnął na drogę kilka razy z cybucha a po-
tem oparł go o ścianę; powoli za małżonką wysunął się z po-
koju.

Weszli do pokoju Heluni. Na białém łóżku leżała z twa-
rzą zarumienioną, oczy gorzały ogniem gorączkowym, białe jak
alabaster ręce położyła nieruchomie na kołdrze.

Gdy się drzwi otworzyły, zwróciła oczy na wchodzących.
Nie wyrzekła ani słowa, o nic nie pytała.

— Jak ci jest, moje dziecko?—zapytał p. Jędrzej, wstrzy-
mując gwałtem łzy pod powieką.

Helunia nic nie odpowiedziała; smutny uśmiech ożywił jęj
twarz.

— Widzisz, moje dziecko—mówił dalej p. Jędrzej—
drogi u nas są złe, dzisiejsza rada powiatowa nic nie robi... nie
łatwiejszego jak kark złamać, osobiście jadąc w nocy...

Spostrzegł się p. Jędrzej i poprawił:

— Chciałem powiedzieć: złamać koło lub dyszel...

Helunia uśmiechnęła się gorzko. Wzięła ojca za rękę
i przyłożyła ją do gorącego czoła. Obfity potok łez puścił się
z jęj oczu.

— Uspokój się dziecko—zaszlochał p. Jędrzej—i staraj
się usnąć. Sen jest dla ciebie najlepszym lekarstwem. W Bogu
nadzieja, że dzień jutrzejszy przyniesie nam coś lepszego.

Pocałował ją w czoło i wyszedł. W pokoju Heluni została
tylko matka.

XII.

Nazajutrz zeszło pogodnie słońce. Wszyscy w Konopów-
ce powstawali wcześniej, a nawet Helunia była ubrana. Napozór
zaczęto dzień zwykłym trybem; p. Jędrzej obchodził stajnie
i gumno, pani Jędrzejowa wydawała rozkazy w kuchni i w mle-
czarni, a Helena wyszła do ogrodu, aby tam zarządzićienne
roboty.

Mimo tego czuć było we dworze jakąś katastrofę, do któ-
rój wszyscy się gotowali. P. Jędrzej nie krzyknął ani razu na
parobka, choć widział to i owo; w stajni pogryzły się konie, na
gumnie dziwnym sposobem znalazło się kilka snopów owsa,
z czego gumnienny nie umiał się wytłumaczyć. P. Jędrzej puścił
wszystko płazem; był zamyślony i szedł jakby przed sobą nie
nie widział.

To samo znać było na pani Jędrzejowej; była łagodna
jak baranek, uśmiechała się do dziewczynek i nie słyszała żadnej
skargi wniesionej.

Helena przeszła cały ogród kilka razy wszerek i wzdłuż,
nie spostrzegłszy chłopaków siedzących w bruździe. Szła zamy-
ślona.

Na śniadanie zeszła się cała rodzina. Długi czas nikt się
nie odezwał; wreszcie zabrał głos p. Jędrzej:

— Przecież nie można zaraz rzucać kamieniem na czło-
wieka, nie wysłuchawszy go. To, co żyd nasz powiada, jeszcze
nie stwierdzone. Nic łatwiejszego jak się o tém przekonać.
Niech tylko przyjedzie!

— Jeżeli przyjedzie—odpowiedziała p. Jędrzejowa—to
właśnie potwierdzi co o nim mówią; a przecież nie przyjedzie
po to, aby nam opowiadać o Pałaczkach.

— Hola!—zawołał imponująco p. Jędrzej—już mnie tam
w pole nie wyprowadzi. Znam się na farbowanych lisach... Uło-

żyłem sobie naprzód całą rozmowę, jaką z nim prowadzić będę. Przypnę go tak do muru, że mi się nie wywinie.

Helena uśmiechnęła się z ironią. Był to uśmiech złowrogi; zdawało się, że więcej wiedziała, czy raczej przeczuwała od rodziców.

— Z pierwszych słów jego, poznam jak rzeczy stoją — prawil dalej p. Jędrzej — a jeżeli rzucę mu jak wędkę jedno i drugie słówko, to z odpowiedzi jego domysle się wszystkiego. Sztuką barany tłuka!

Zapalił fajkę i szerokim krokiem zaczął chodzić po pokoju; był tak pewny siebie, jak dyplomata udający się na kongres europejski.

P. Jędrzej nie dopalił jeszcze fajki, gdy szyba zabrzęczała w drugim pokoju. Pospieszył do okna: do bramki wjeżdżał właśnie wózek p. Józefa.

— Tylko proszę was — zawołał do przyległego pokoju — tak jakby nigdy nie było. Przyjąć go dyplomatycznie. Zostawcie mnie przy słowie, a wy tylko słuchajcie.

Nikt nie oponował; p. Jędrzej objął ster domu.

Najprzód uznał za stosowne nie wyjść na spotkanie gościa. Wziął do ręki kalendarz i zaczął czytać. Kobiety cofnęły się do swoich komnat.

Otworzyły się drzwi — wszedł pan Józef.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA ZIEMI I NA GWIAZDACH.

Klejnoty koronne. — Pierwsze wrażenie. — Pan minister finansów, jego żona i córka. — Cześć dla wspomnień i dla 12 milionów. — Trwożliwość dziewczęcia. — Rozbijanie koron, łamanie szpad i t. p. — Rozpacz Raspaila. — Klejnoty na sprzedaż. — Miłosierdzie angielskie i workauzy. — Barbarzyństwo. — Nowy rodzaj zbytników. — Stowarzyszenie kobiet francuskich. — Lekeye chirurgii na manekinach. — Alzatka i francuzka. — Klęska załogi włoskiej w Abissynii. — Bohaterowie. — Król, jego pobożność i hojność. — Pomnik dla poległych. — Wieża żelazna w Paryżu i protest. — Nowa komisja. — Latarnie elektryczne na morzu pogaszone. — Statua wolności kaleka.

Choćbym dziś pisał z tamtego świata, zacząłbym list od Paryża, aby wzruszyć ramionami nad znikomością sławy ludzkiej nieodłącznej i od brylantów korony Francji, potłuczonych młotem niby kamienie brukowe. Łamanie insygniów cesarstwa było dla Rzeczypospolitej bardzo ciekawem i dało do myślenia to samo, co niedawno dało gruchotanie posągów historycznych w Luwrze, wobec radujących się tłumów. Dekret stał się już czynem, korony cesarskie, szpady, pierścienie, orderzy, gwiazdy i t. p. ozdoby pokruszono, połamano, metal odesłano na stopienie do mennicy a kamienie wylupione z oprawy zostaną sprzedane i w części oddane w Szkole górniczej.

Ubolewać i płakać nad rozproszeniem brylantów, byłoby to samo co płakać nad każdym zbankrutowanym jubilerem, ale jeżeli ten drogocenny kamień był świadkiem świetnej przeszłości kraju, jeżeli łączy się z nim wspomnienia dni słonecznych — to wart on tyle co żywy człowiek, co przyjaciel, co pomnik spiżowy. Podobnie czuć musieli przynajmniej niektórzy z obecnych przy otwarciu wielkiej skrzyni z klejnotami koronnymi, którą pachołcy rządowi wydobyli z niszy w podziemiach, silnie okratowanej i trzema zamkami strzeżonej. Pierwsze otwarcie tej brylantowej trumny odbyło się pod sklepieniem piwnicy bankowej, wobec ministra finansów p. Dauphin i grona złożonego z urzędników, fotografów, jubilerów, chemików i fizyków. Podziemie, do którego schodzili republikanie, jak schodzi kat do swojej ofiary, rozjaśnione zostało światłem elektrycznym, skierowanym na brylanty szacowane po kolei. Republikanie przyznają się, że w pierwszej chwili czuli jakieś dziwne wrażenie, coś, co nie było żalem za cesarstwem ale nie było i nienawiścią do niego, coś, jakby w noc ciemną samotnych zostawiono na grobie wroga, który już z prochów nie powstanie. Przyznają, że klejnoty patrzyły na nich oczyma ludzkimi, mówiły językiem zrozumiałym, jęczały i szlochały, kiedy je kat-jubiler wylupywał. Ale delegaci rządowi i specjaliści otrzęśli się z pierwszego wrażenia, zobaczywszy, że korona cesarska leży w gruzach a orzeł nie wyrwał się z niej i nie zakrakał, że żaden duch mściciel nie

wyłonił się z ciemnych kątów piwnicy. Uspokoili się i bez drżenia kończyli zniszczenie.

Tylko kobiety w gorączkowym nastroju pozostały do końca; jak przyszły tak wyszły oczarowane i strwożone, chociaż były to — żona i córka ministra Rzeczypospolitej, p. Dauphin. Panie te nie miały siły odmówić sobie przyjemności zobaczenia i dotknięcia się skarbów zaklętych; a pan minister przekroczył ścisły rygor biurowy, musiał on być posłusznym żonie a chciał zrobić przyjemność swęj pięknej jedynaczce.

Jedynaczka zobaczywszy brylanty, krzyknęła olśniona — nie zdziwiła ją wartość ich, wynosząca 22,000,000 franków, tylko blask piękniejszy od blasku gwiazd i słońca i historia złączona z temi pamiątkami; córka republikanina historią cesarstwa zna dobrze. Matka jej praktyczniej zapatrywała się na brylanty, pytała po kolei ile wart ten i ów przedmiot, ile warta korona cesarska a kiedy jej powiedziano, że sławny Regent oceniony jest na 12,000,000 fr., pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć — za co tu tyle pieniędzy! P. Dauphin musi być rządzoną kobieciną a chociaż zanadto dystygowaną, aby na balu u prezydenta kazać zanieść sobie do domu kawał tortu lub garść cukierków, jak to robią bez ceremonii niektórzy deputowani z zapadłych prowincyj, ale zapewne u siebie, po balu, zlewa do butelek kieliszki niewypite. Córka nie śmiała dotknąć się owego Regenta, o którym słyszała jeszcze w kolebce, więc wcześniej niż o Ludwiku świętym, niż o Joannie d'Arc, niż o Napoleonie I-szym; ojciec zachęcał ją: weź w rękę, będziesz się mogła tém pochwalić przed przyjaciółkami; matka także ośmielała dziewczę ale ona tknąć się Regenta nie odważyła. „Serce mi bije — nie mogę”, odpowiadała i zwróciła oczy na inne przedmioty, aby uniknąć pokusy.

Rodzice nie umieli ocenić tej delikatności uczucia a może wstydzieli się wobec zaproszonych za parafianstyczynę córki, która dziwnie szanuje to, co inni młotem i obcęgami rozbijają. Chcąc uraczyć dziewczynę, ktoś poprosił, aby pozwoliła przypiąć do swojej piersi brylanty, które będą sfotografowane; ojciec zaś wezwał ją do tej ofiary w imię dobra Rzeczypospolitej. I jedynaczka ujrzała się naraz oblepioną brylantami korony, wielkimi jak groch i orzechy. Stała jak skamieniała, czuła się królową i niewolnicą; piers jej falowała, fotograf musiał dwa razy pracę powtarzać.

Minister odezwał się z powątpiewaniem, czy jubiler potrafi wydobyć brylanty bez uszkodzenia z oprawy szczerze przystając, czy potrafi od metalu na stopienie odjąć to, co się stopić nie da; wówczas specjalista wziął do ręki szpadę z rękojeścią brylantową, obcęgami odłamał klingę od jabłka i części te rzucił na stół, pomiędzy inne już połamane sprzęty. Równocześnie inny jubiler, dla zrobienia przyjemności ministrowi, uderzył w koronę cesarską kilka razy młotkiem, oderwał jabłko a dla zatarcia wszelkich śladów przeszłości, zgniótł ręką koronę w jedną niekształtną bryłę złota i z tryumfem złożył przed ministrem trupa cezaryzmu.

Z początku w piwnicy panowała uroczysta, prawie religijna cisza, światło gazowe nie rozwidniało należycie podziemia, wszystko miało jakąś postać tajemniczą... coś bolesnego... coś z katakumb... Ta cisza jeszcze trwała, kiedy z kufra wyjęto i rozstawiono na stole pamiątki z panowania Karolów, Ludwików, Napoleonów... arcydzieła sztuki... ale kiedy zabrali się do pracy specjaliści, kiedy zaczęto gatunkować kamienie na sprzedaż i do gabinetu mineralogicznego „Szkoly górniczej”, kiedy młotki i pilniki zaczęły pełnić swoje posłannictwo... cisza nikła, gwar wzrastał, zapal ogarniał niszczycieli i w końcu, kiedy minister podziemia opuścił, bawiono się wybornie, pomrukiwano sobie Marsylianek i dowcipami strzelano w przeszłość historyczną.

Brylanty, perły, topazy, rubiny wyskakiwały z opraw na stół zielonym sukniem pokryty; oprawy drogocenne ważono i zapisywano... a robotę przeplatały cięte słówka, co się wyrzywały z ust specjalistów, ludzi naukowych. W Luwrze bawiła się przeszłością kanalia, w piwnicach bankowych — inteligencya.

Przy klejnotach nie przyszło do bachanalii, bo brakowało p. Beniamina Raspail. Raspail modlił się po swojemu o jedyną przyjemność przed śmiercią: aby mógł własną ręką zgruchotać zniechwilowaną koronę. Kiedy się dowiedział o dniu egzekucyi

w podziemiach, powtarzał gorączkowo: „Ja chcę ją rozbić, ja sam ją rozbiję!” Ale nie chciano jakoś czekać na wyzdrowienie p. Raspaila, który zwichnąwszy sobie niedawno nogę, musiał wówczas leżeć w łóżku. Co wycierpiał człowiek, który za otrzymane razy od cesarza, miał taką sposobność zemścić się na jego koronie? Przyjaciele i wielbicieli Raspaila, chcąc ulżyć jego boleści, ofiarowali mu młotek, którym rozbito koronę... prezent ten wróg cesarstwa tulił do ust, do piersi. Jak to łatwo zwaryować!

Salon, w którym będą wystawione klejnoty na sprzedaż, ma być udekorowanym z wyszukaniem przepychem; rząd chce brylanty dobrze sprzedać a więc musi je podać na pięknym półmisku. A tego grochu drogiego będzie kilka garncy: 51,403 brylantów, 21,119 rozet, 2,963 pereł, 507 rubinów, 136 szafirów, 312 szmaragdów, 528 turkusów, 22 opali i 496 różnych innych kamieni. Jest jeszcze z czego obdzierać Francję królewską.

Po drodze od brylantów paryżskich wstąpmy do „workhouse’ów” londyńskich, chociaż w takim przerwaniu się z kąpielą słoneczną w przerebel łatwo zaziębić się można. Rozsławione i tradycyjne miłosierdzie angielskie skompromitowały bardzo domy noclegowe dla nędzy londyńskiej; przebaczenie za sobokostwo wypiarzy uproszę u Boga angielski dla swoich mężów, braci i synów; one to godne są współzawodniczyć z Siostrami miłosierdzia w habicie, tak samo są ciche, cierpliwe, skromne, poświęcone nędzarzowi, chociaż ukształcone nieraz jak akademik a piękne jak anioł nie wygnany z raju. Córki najpierwszych rodzin angielskich uczą się medycyny i chirurgii jedynie w tym celu, aby obsługiwać szpitale i nieść pomoc bezpłatną po domach, rodzinom wyrobników i innych biedaków; uczą się dla miłosierdzia jak czytają Homera dla Homera, jak uprawiają sztukę dla sztuki. W narodzie najbardziej kupieckim ze wszystkich narodów europejskich, ideał miłości bliźniego wzrósł najwyżej; objawia się on tam nie deklamacją, nieżłami i westchnieniami ale obmywaniem nóg nędzarza, opatrywaniem ran wstrętnych.

Odrotną stroną medalu miłosierdzia angielskiego są owe przytulki noclegowe, z których korzystają wszystkie klasy społeczeństwa, bo która z nich nie ma swojej biedy? Spotkasz w nich byłego magnata arystokratę, artystę, profesora, sławną śpiewaczkę, linoskoka ze złamaną nogą, nawet misjonarza, który ogłuchł i musiał zaprzestać misji swą religijną, połączoną z drobnym handlem pomiędzy dzikimi w Afryce lub na przedmieściach londyńskich. Ale więcej zawsze nocuje w nich wyrzutków społecznych, którzy regularnie do nich przychodzą na noc, dzień przepędzając nie wiadomo gdzie i jak. W takich „workhousach” pełnią służbę także infirmerki cywilne; okrucieństwa jakich się one dopuszczają opisała p. Ludwika Twining, jedna z kobiet inteligentnych, poświęconych nieszczęściu ludzkiemu. Siostra miłosierdzia to anioł, infirmerka workhousu to szatan — z jednego materiału krzyż i łopata. Te potwory potrafią kłówać pięścią i kijem starców schorzałych; śledztwo wykryło nadużycia godne wieków barbarzyńskich i oburzyło opinią publiczną. Kilka takich przytułków policja musiała bronić przed tłumem, dopominającym się ukarania dozorczyń złych, nałogowych, obchodzących się z chorymi jak ze zwierzęciem, które można kopnąć i zdusić bez narażenia się na odpowiedzialność. Opinia żąda, aby w przytułkach posługiwały tylko angielski tak uczciwe jak te, które w Paryżu i Rzymie zyskały serdeczne społeczeństwo w czasie epidemii i obłędu, pracując razem z Siostrami miłosierdzia.

Pani Ludwika Twining wykryła w przytułkach nocnych nowy rodzaj przemysłowców: są to ludzie stosunkowo zamożni, posiadający rocznej renty 1,000 a nawet 2,000 franków. Ci ichmościowie przytulki nocne obrali sobie za rezydencję, aby cały swój dochód obrócić na różne przyjemności. Jedni z nich bywają w teatrze, inni stawiają zakłady na wyścigach, inni zjadają czekoladki lub rozpierają się w fiakrach, są nawet amatorzy kwiatów — nie żałują oni kilku franków za bukiet pierwiosnków lub różę jakiejś szczególniej barwy... wszyscy ci zbytkownicy wracają codziennie na noc pomiędzy nędzarzy, aby na jutro znowu w parkach i teatrze udawać panów i ludzi dobrego gustu.

Narody mądre pożyczają od siebie wzajemnie nie pieniądze ani ulepszonej broni ale wiedzy a przede wszystkim cnoty.

Anglia po pierwszej wystawie paryżkiej pożyczyła od Francji sztuki zastosowanej do przemysłu i z tej pożyczki tak skorzystała, że dziś przemysł artystyczny angielski śmiało rywalizuje z takimże przemysłem francuskim. Nawzajem Francja po wojnie prusko-francuskiej pożyczyła od Anglii wzoru dozorczyń szpitalnych, rekrutowanych z rodzin inteligentnych i zamożnych, i także dziś już się zrównała ze swym pierwowzorem. „Stowarzyszenie kobiet francuskich”, obsługujące chorych po domach w czasie pokoju i rannych na polu bitwy, posiada ogniwa rozrzucone po całym kraju; wszystkie one mają swe główne ognisko w Paryżu, gdzie znajduje się szkoła dla kobiet chcących zdać egzamin na lekarza, chirurga lub dozorczynię. Program nauki jest bardzo obszerny a praktyczny; kobieta należąca do stowarzyszenia musi być pożyteczną w rodzinie, na ulicy, w fabryce, w kopalni, w szpitalu; powinna umieć zastąpić lekarza w pierwszej chwili a nie tylko lekarza ale i dozorczynię i służę; powinna umieć określić rodzaj choroby, zmierzyć temperaturę ciała, zrachować puls i zaaplikować pierwszy ratunek.

Szczególnym zbiegiem okoliczności przełożoną tego szlachetnego związku, spowodowanego klęskami zadanymi Francji przez Niemcy, jest kobieta nosząca nazwisko czysto niemieckie ale posiadająca duszę do dna francuską — pani Koechlin-Schwartz; to córka Alzacji. Ta zacna kobieta przeniosła do Paryża patryotyzm i godność, jaką się wyróżniają obywatelki Alzacji, zgromadziła w szkole paryżkiej przeszło tysiąc uczennic, znalazła towarzyszek w całej Francji — otoczyła nimbem miłosierdzia kobietę francuską, która uchodziła powszechnie tylko za lalkę lub radykalistkę przemądrzałą. Dowiodła, że i francuska potrafi się uczyć medycyny zachowując swą skromność niewieściami, umie się obywać bez egzemplarzy żywych, o jakie upominały się niektóre uczennice, posunięte w sferze równoprawnienia z mężczyzną do absurdu.

Doświadczenia w szkole odbywają się na manekinach udających człowieka rannego, ze złamaną ręką, nogą, lub chorego, któremu trzeba krew puścić, postawić synopizma, przewrócić z boku na bok bez robienia mu bólu i t. p. Profesorowie bandażują manekina, opatrują go a uczennice praktykę ich naśladują. Na tém pośrednictwie masy tekturowej nic nauka nie traci; manekiny są znakomicie zrobione, rozbierane i składane, cały organizm leży jak na dłoni a uczennica młoda nie patrzy w oczy mężczyźnie żywemu, co dla uczucia wstydu ma wielkie znaczenie. W praktyce późniejszej, taka dozorczyń nie będzie się lękać ran żywych, śmiało ona dotknie się chorego, który jest zagrożony kalectwem lub śmiercią — miłosierdzie i społeczność pogodzi się wówczas ze wstydem niewieściami.

Z p. Schwartz pracuje sekretarz związku pani Marulaz; obie te kobiety mają, można powiedzieć, jedną duszę, jeden cel życia. Kochają się serdecznie. „Moja droga, mów p. Schwartz, nas muszą pochować w jednym grobie.” „Nie mówmy o śmierci, odpowiada młodsza i weselsza paryżanka starszej alzatce — mamy tyle przed sobą roboty, my żyć musimy koniecznie!” Pocałunek serdeczny, wobec audytoryum szkolnego, kończy zwykle podobne sprzeczki.

O trzęsieniu ziemi nic wam nie wspomnę — katastrofę tę straszną już wyeksploatowali nowiniarze. Było to nieszczęście bez bohaterów, a tylko o wielkich czynach odwagi warto powtarzać bez końca. Taką powieścią nieśmiertelną jest porażka a raczej wymordowanie załogi włoskiej przez abisyńczyków; 600 żołnierzy włoskich walczyło przeciw 15,000 żołnierzom nagim, uzbrojonych w pałki żelazne, czekany, noże... Czarnych padło przeszło pięć tysięcy a hufiec włoski legł cały, ocalał tylko jeden hr. Karol Micheli, udając zabitego.

Włosi przestali strzelać kiedy brakło im nabożów i pełka kartaczownica; wówczas bronią białą nacierali na wyjące tłumy. Ostatni bohater podpułkownik de Cristofori z ostatnimi żołnierzami sprezentowali broń przed rozciągniętymi na ziemi krwią zalaną towarzyszami — rzucili się w otchłań napastników z okrzykiem: Niech żyje Italia! — i wszyscy zginęli.

Klęska ta okryła naród żałobą. Boleść najwidoczniejsza była na nabożeństwach żałobnych, odprawianych w świątyniach rzymskich; nabożeństwu towarzyszył zawsze król, królowa, następca tronu, dwór i tłumy publiczności. Król klęczał przez całą mszę św., modlił się, jakby ci wszyscy co legli należeli do jego rodziny. Hojnym się także okazał dla wdów i sierot po

poległych — nie należąc do ludzi bardzo bogatych, ofiarował 120,000 franków. Ofiary podobne ciągle prywatną szkatułę króla do dna wypróżniają.

Hojny król jest szczęśliwym małżonkiem — nigdy żona nie powstrzyma jego szczodrości, przeciwnie, pomaga mu do wynajdywania nieszczęśliwych. Za królem poszedł cały naród, składki płyną obficie; będą one użyte dla rodzin po żołnierzach i na wzniesienie pomnika, na którym umieszczone zostaną nazwiska wszystkich poległych pod ciosami dzikich.

I tym dzikim warto wzniesić pomnik za waleczność, gdyby oni umieli cenić swe życie, gdyby wiedzieli, że żyć trzeba dla pracy a nie dla rozboju i rozpusty, gdyby nie pastwili się nad bezbronnymi i trupami. Oni walczyli za ojczyznę, wypędzali najezdźników, ale ojczyzna dzikich tłumów to uniżowanie niewoli, ciemnoty i rozpusty; oni uznaliby włochów za swoich dobrodziejów, gdyby ci paśli ich lepiej i polli obficie niż ich karmi i poi satrapa srogi, łakomy i kradnący, gdzie tylko sposobność się zdarzy.

Pomnikiem, jaki król włoski zaprojektował uczcić pamięć poległych, będzie obelisk niedawno wykopany w pobliżu kościoła rzymskiego; obelisk nie olbrzymi ale piękny. Wnukowie Michała-Anioła nie przeniewierzyli się pięknu klasycznemu, nie myślą oni naśladować p. Eiffela, twórcy owego żelaznego potwora, który ma się wznosić nad wystawą paryżką aby oświecać cały gród olbrzymi i jego przedmieścia. P. Eiffel, genialny może jako inżynier, nie ma wyobrażenia o sztuce pięknej, wieża jego będzie kolosem niezgrabnym, wstrętnym; — już dziś podminować ją chcieli literaci i artyści, którymi Francja się szczyci. Piękną grupę stanowi opozycja; literaci, muzycy, malarze i rzeźbiarze: Meissonier, Robert Fleury, Gérôme, Bonnat, Bouquerra, Sardou, Al. Dumas, Coppée, Maupassant, Gounod, Thomas, Lewate de Lisle i wiele innych znakomitości. Zdaje się jednak, że przedstawienie nie będzie uwzględnione przez rząd, który już znaczną sumę wydał na fundamenta żelaznego Babelu. Dyrektor wystawy rachuje także na to, że potwór może być takim magnesem dla cudzoziemców, jak siódmy cud piękności — i nie myli się; połowa Anglii popłynie do Paryża aby zobaczyć dzieła sztuki i przemysłu, ale dla wieży popłynie cała.

Dowcipnie się wyraził jeden z grona protestujących: „Jeżeli wieżę p. Eiffel zbuduje, wówczas *eifelizm* stanie się zaraźliwym a po kilku latach rząd będzie zmuszony zastąpić komitety do *konserwowania* pomników komitetami do ich *burzenia*.”

To, czego nie mógł zrobić protest znakomitości ze świata sztuki, zrobi może wiadomość najświeższa z Nowego Yorku a dotycząca olbrzymiego posagu wolności, ofiarowanego Ameryce przez Francję; miał on elektrycznością oświetlać lądy i morze, a już nie oświetla nic. Ten sam los może spotkać i wieżę żelazną.

Światło elektryczne w takiej ilości, jaką statua zużywa, jest jeszcze dziś kosztownym zbytkiem a zamiast korzyści przynosi tylko szkodę marynarzom, którzy wolą płynąć w ciemności i kierować się gwiazdą na niebiosach niż światłem elektrycznym. Światło migając to jaśniej to ciemniej myli marynarzom drogę, zakrywa niebezpieczeństwa, wzrok ich odzwyczajając od widzenia morza w jego naturalnej grozie. Marynarze na Sundzie już pogasili latarnie elektryczne — wolą oni noc czarną.

Z tych względów posąg wolności, wzniesiony w porcie nowojorskim, zagaśł także i wygląda jak zabawka bez żadnego pożytku, bo nie jest nawet pięknym.

IRU.

ODCZYTY

W MUZEUM ROLNICTWA I PRZEMYSŁU.

Za treść drugiego odczytu, drugiej seryi prelekcji, na rzecz Kasy imienia Mianowskiego, wziął sobie p. Siemiradzki „Wulkanizm i jego rola w gospodarstwie wszechświata.”

Zaznaczywszy dwie istniejące teorie początku ziemi, tworzące dwie szkoły: plutonistów i neptunistów, z których pierwsi wywodzą powstanie kuli ziemskiej z ognia a drudzy z wody, prelegent pokazał obrazy wulkanu w stanie spokoju i w chwili wybuchu.

Wulkan jest to góra stożkowata, z zagłębieniem lejko-watém w środku, zwaném kraterem; wnętrze jego wypełniają tufy, lawa i popioły. Badania lawy pod mikroskopem pozwoliły wykryć wulkany tam, gdzie się ich nawet nie domyślano. Wybuch wulkanu poprzedza trzęsienie ziemi, huk podziemny, topnienie śniegu, a siła wybuchu jest tak potężna, że na kierunku słupa wybuchowego najsilniejsze uragany żadnego nie wywierają wpływu. Popiół z wybuchów Hekli (na Islandyi) dolatywał do Sztokholmu a z wybuchów Wezuwiusza do Konstantynopola.

Szybkość z jaką płynie lawa jest przerażająca; w pierwszych chwilach ubiega ona 2 do 3 a niekiedy do 8 metrów na sekundę; temperatura jej jest również niesłychanie wysoka; żelazo topnieje w niej a srebro przechodzi w stan lotny; stygnie bardzo powoli i po znacznym przeciągu czasu jest jeszcze płynną a tak gorącą, że cygaro od niej zapalić można.

Straciwszy siłę wybuchową, wulkany wydzielają już tylko gazy i produkta naftowe; za przykład posłużyć tu mogą: Psia grot, Bakum, morze Martwe, Nowa Grenada.

Podział jednak wulkanów na czynne i martwe nie ma podstawy; częstokroć wulkan, który wieki milczał, odzywa się na nowo. Wezuwiusz milczał do 79 r. ery naszej; krater jego zarósł winnicami; od r. 79 milczał znów do 1306; potem znów przemówił dopiero w r. 1631.

Wulkany na kuli ziemskiej ciągną się w trzech liniach, odpowiadających południkom na wybrzeżach oceanów Spokojnego i Atlantyckiego; czwarta linia ma kierunek równoleżnika i opasuje kulę ziemską.

Same wybuchy wulkaniczne prelegent tak tłumaczył: wnętrze kuli ziemskiej nie może być płynne, gdyż ciężkość gatunkowa ziemi jest większa od ciężkości najcięższych skał, a wiadomo, że płyny lżejsze są od ciał stałych. Wnętrze to stanowi masa silnie rozżarzona, do której gdy się woda dostanie, następuje wybuch.

Wulkany, zdaniem prelegenta, potrzebne są w gospodarstwie ziemi. Gdyby nie one, powierzchnia ziemi, dzięki prawom ruchu wirowego, cała pokryta byłaby gładkim, płytkim oceanem a glob nasz stałby się martwym. Tylko potężne kataklizmy następujące w skutek wybuchów wulkanicznych pozwoliły utworzyć się lądom, nadały powierzchni ziemi jej kształt dzisiejszy, dały jej tlen i węgiel a zatem życie.

Odczyt cały, obok powagi naukowej i źródłowości, był przystępny i w piękną przybrany formę.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

Trzeci i czwarty odczyt w sali ratuszowej na rzecz Osad Rolnych przypadł w udziale znanemu chlubnie z katedry prelekcijnej p. Adolfowi Święcickiemu. Przedmiotem odczytu był ustęp z dziejów literatury, którą prelegent z zamiłowaniem studjuje — „O teatrze hiszpańskim”.

Dramat hiszpański uprzedził wszystkie inne; w XVI w. znajduje on się już na stopniu rozwoju, który go stawia niesłychanie wyżej nad praktykowanymi wówczas w Europie mysteriami. Z tej epoki znane są imiona Juana de Emisa, Fernanda de Rojas i Tornesa de Noharro, a Lope de Rueda, złotnik, aktor i autor dramatyczny zebrał trupe aktorów i z nią jeździł po całej Hiszpanii, wszędzie z niezmiernym przyjmowany zapalem. W ogóle hiszpanie zawsze okazywali nadzwyczajne, może zbyt uczucie do teatru.

W r. 1562 urodził się Lope de Vega Carpio, jeden z najgenialniejszych a bezwarunkowo najpłodniejszych z dramaturgów. Utwory jego odznaczają się wybornymi pomysłami, werwą, humorem nieporównanym, a są wiernym odzwierciedleniem społeczeństwa współczesnego. Napisał ich Lope de Vega podobno 1,500; nie więc dziwnego, że olbrzymio przyczynił się do rozwoju dramatu hiszpańskiego.

Mniej utalentowanym choć wiernym także malarzem swe go czasu był następca Vegi, Tirso di Molina.

Za Filipa IV, który szczególną opieką otaczał teatr, dramat hiszpański dochodzi do kulminacyjnego punktu swojej świetności, dzięki pieczołowitości krolewskiej i pojawieniu się drugiego, pod niektórymi względami jeszcze wyższego geniusza dramatycznego: Calderona de la Barca. Nie był on tak płodnym jak Vega, ale przewyższa go podniosłością mistyczno-poetycznego nastroju i maestryą w obrobieniu swoich utworów. Pisał i on bardzo wiele, nie tylko dramata ale i komedye, które jednak mniej mu się udawały.

Po Calderonie znane już tylko są nazwiska Alarcona, Rujasa, Moreta i Selisa. W XVIII w. nastaje upadek dramatu hiszpańskiego; teatrem zawłada francuszczyzna, a r. 1800 usuwa ze scen hiszpańskich Lopeza Vegę, Calderona i Moreta. Skuteczna reakcja przeciw temu jarzmu francuzkiemu następuje dopiero w r. 1830; ks. di Rivis, Guttierrez i Hartzenbusch wprowadzają napowrót dramat na tory narodowe; największe atoli powodzenie miał „Don Juan Tenario” Zorilli. Breton de los Horrerros smagał ostrą satyrą szal teatralny, jaki wówczas hiszpanów opanował; mimo okropnej nędzy w kraju, aktorów przepłacali złotem. Don Lassido Serra pierwszy wprowadził na scenę niższe klasy społeczeństwa.

Tutaj znów psuje się, wyradza prąd romantyczny a powstają nowe dążności i kierunki. Don Thomas Rodriguez Rubi wprowadza na scenę społeczeństwo pospolite, mierne, szare i pełne typów ujemnych; Lopez de Ayala y Herrera wprowadza dramat tendencyjny; wyżej od nich stoi Don José Echegaraya, autor dramatów psychologicznych, opartych na wewnętrznych walkach bohaterów, z pomiędzy których pierwsze miejsce trzyma „Obłąd czy światło”.

W ostatnich czasach najpoetyczniejszą ze scen zawładnął naturalizm, którego szczytem jest „El nudo gordiano” („Węzeł gordyjski”) komedia Eug. Sellesa, uboga treścią, pełna scen wstrętnych.

Ten upadek dramatu hiszpańskiego, może mniej słusznie przypisał prelegent zbytowi troskliwości i zajęcia się teatrem, ze strony zarówno rządu jak publiczności hiszpańskiej. Sztuka to roślina, która tylko pod słońcem pomyślności i przychylnego uznania rozwijać się zwykła i rozwijać się może; chłód, obojętność są dla niej truciznami śmiertelnymi. Wszak i w Hiszpanii za Filipa IV, jak to przyznał sam prelegent, teatr stanął u zenitu świetności. Przyczyn więc jego upadku może gdzieś szukać należy; prawdopodobnie tam, z kąd wyszedł upadek literatury dramatycznej na całym świecie.

Prelegent mówił jak zwykle płynnie, okrągło, z dobrą deklamacją; rzecz sama była nader zajmująca, a ustępy cytowane z dramatów, własnego przekładu prelegenta, bardzo ładne. Publiczność darzyła go szczerymi oklaskami; szkoda tylko, że na te oklaski zamało rąk się składało, szkoda dla tych, co słuchać nie przyszli.

OSTATNIE NABOJE.

Waleczne resztki rozbitego przez Niemców oddziału, kawalerzyści, piechota liniowa, turkosy, parci coraz bardziej przez przemagające siły zamknęli się w napotkanym na drodze budynku, opuszczonym przez mieszkańców.

Zatarasowano drzwi, obsadzono okna.

Od kilku godzin Niemcy nadaremnie kuszą się o zdobycie tej improwizowanej warowni; nadaremnie kule ich iglicówek druzgoczą szyby i ramy okienne, nadaremnie rozbijają ściany, nadaremnie granaty wyrwywają dziury w suficie i gruzem zasypują obleżonych: upór ataku niweczy wściekłość obrony ze strony tych, co nie mają już nic do stracenia.

Dym wygryza im oczy, ręce mdleją ze znużenia, ale ogień wciąż idzie żwawo, szaspoty „wciąż grają i świecą”, a dziesiątkowani celnymi strzałami Niemcy klną na czem świat stoi, że takiego „kurnika” tyle czasu wziąć nie mogą.

Ale nareszcie nadeszła chwila... chwila straszna, o której w zapale walki nikt nie myślał, ale która mimo tego zbliżała się nieubłaganie jak przeznaczenie; chwila, w której ręka żołnierza „szukając w ładownicy długo i głęboko”... nie nie znalazła,

w której karabin przestał pełnić swoją służbę i pozostał chyba maczugą, zdolną jedynie do rozbijania kolbą łbów nieprzyjacielowi.

Już oto ten młody żołnierz na prawo rzucił go i strzaskał o ziemię, a sam, z rezygnacją rozpacz włożył ręce w kieszenie, oparł się o filar alkowy i patrzy... Gdyby wzrok mógł zabijać, z pod jego wzroku ani jeden Niemiec nie uszedłby żywy.

Grupa na lewo skupia powszechną na siebie uwagę. Tutaj widzimy paru szczęśliwców, którzy mają jeszcze czem wystrzelić — może także poraz ostatni! Pierwszy składa się kawalerzysta... mierzy długo i uważnie — za chwilę jedna więcej dusza niemiecka wywędruje z niemieckiego ciała. Obok niego turkos, z przygotowanym do strzału karabinem, czeka na swoje kolej. Nieco w tyle, drugi kawalerzysta, ranny, z przewiazaną nogą, nie mogąc ustać o swojej sile, oparł się oburącz o kredens, i pochylony, z wyciągniętą szyją, śledzi wzrokiem jaki skutek sprawi strzał kolegi, z takim zajęciem, jak gdyby go nie więcej na świecie nie obchodziło. Nieco bliżej ku przodowi dwaj piechurzy, stary wiarus z przewiazaną głową, z szewronami na rękawie, i młodszy kolega, ukląkłszy, szukają azali w ładownicy po poległym swoim towarzyszu nie zabłąkał się przypadkiem jaki ładunek. Stary, z karabinem na kolanie, z zaciśniętą pięścią, niespokojny, dziki wzrok wlepił w ręce towarzysza: znajdzie co... czy nie znajdzie?...

Na środku, w głębi, otwarte drzwi, z potrząskanymi szymbami, na jednej wiszące zawiasie, prowadzą do drugiego pokoju, równie jak pierwszy pełnego dymu, gruzów i bohaterskich obrońców. W samych drzwiach ślania się, wsparty o odzwierzek, ranny żołnierz; tuż obok drzwi, drugi, którego snąć siły opuściły, wyciągnął się na ziemi i oparty plecami o ścianę, instynktownie jedną ręką podtrzymuje drugą, obandażowaną, zbolalałą...

Za chwilę dłuższa obrona stanie się niepodobieństwem; przewaga siły tryumf odniesie nad bohaterską garstką, która polegnie od bagneta lub kuli niemieckiej, albo, co gorsza, popędzoną zostanie w niemiecką niewolę. Zapadająca noc pokryje cieniem swoim tę jedną z wielu, rozdzierającą scenę jednego z najkrwawszych i najsmutniejszych nowoczesnych dramatów ludzkości, który powalił o ziemię naród stojący dotąd na czele cywilizacji a stał się podwaliną potęgi niemieckiej i wielkości tego, który, jeśli mu los do końca dopisze, przejdzie do dziejów pod nazwą „kanclerza żelaznego”.

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Ś. p. Emanuel Kania. Sztuka piękna znowu straciła wiernego przyjaciela, koledzy dobrego towarzysza w doli i niedoli a rodzina wzorowego ojca. Szlążek polski był kolebką ś. p. Kani, tam pierwotnie pod kierunkiem ojca swego kształcił się w muzyce, następnie zagranicą a od lat 30-stu zamieszkał w Warszawie, gdzie pracował jako kompozytor i nauczyciel. Kompozycje Kani cieszyły się wielkim powodzeniem; muzyk dobierał do pieśni swojej poezje Lenartowicza, Wolskiego, Bohdana, Mickiewicza... Talent Kani rozwijałby się w kwiat bujny, gdyby nie jarzmo nauczycielskie, które najsilniejszą organizacją w końcu zużyje, najgorętszą fantazją popiołem przysypie. A Kania należał do tych, którzy nie przez pół robić nie potrafią, musiał pracować jako nauczyciel więc pracował sumiennie, gorliwie, a chociaż mu tęskno było do pracy na innem polu — z czystym jednak sumieniem chciał o sobie powiedzieć — zrobiłem co mogłem. Sztuka i rodacy zapiszą w swęj pamięci nazwisko zdolnego artysty i zacnego człowieka, a koledzy urządzając koncert złożony z utworów Kani, oddadzą hołd jego zasłudze. Uczennice, których Kania tyle wykształcił, powinny bezwzględnie pomódz temu szlachetnemu zamiarowi; niech sobie przypomną, że miały nauczyciela, którego piękny talent i prawy charakter szanowały.

Czwierćwiekową pracę lekarzy i zarazem profesorów Brodowskiego, Płaskowskiego i Biesiadeckiego uczciło warszawskie Towarzystwo lekarskie ofiarowawszy im tytuł członka honorowego.



J. ROBERTSON

Jules L. VÉR

Ostatnie naboje.

Epizod z wojny francusko-niemieckiej. Obraz Juliusza Lavée, nagrodzony wielkim medalem.